

SZTUKA i MIŁOŚĆ.

DRAMAT

w 2ch dobach rzeczywistego życia

przez

MAURYCEGO MANNA.



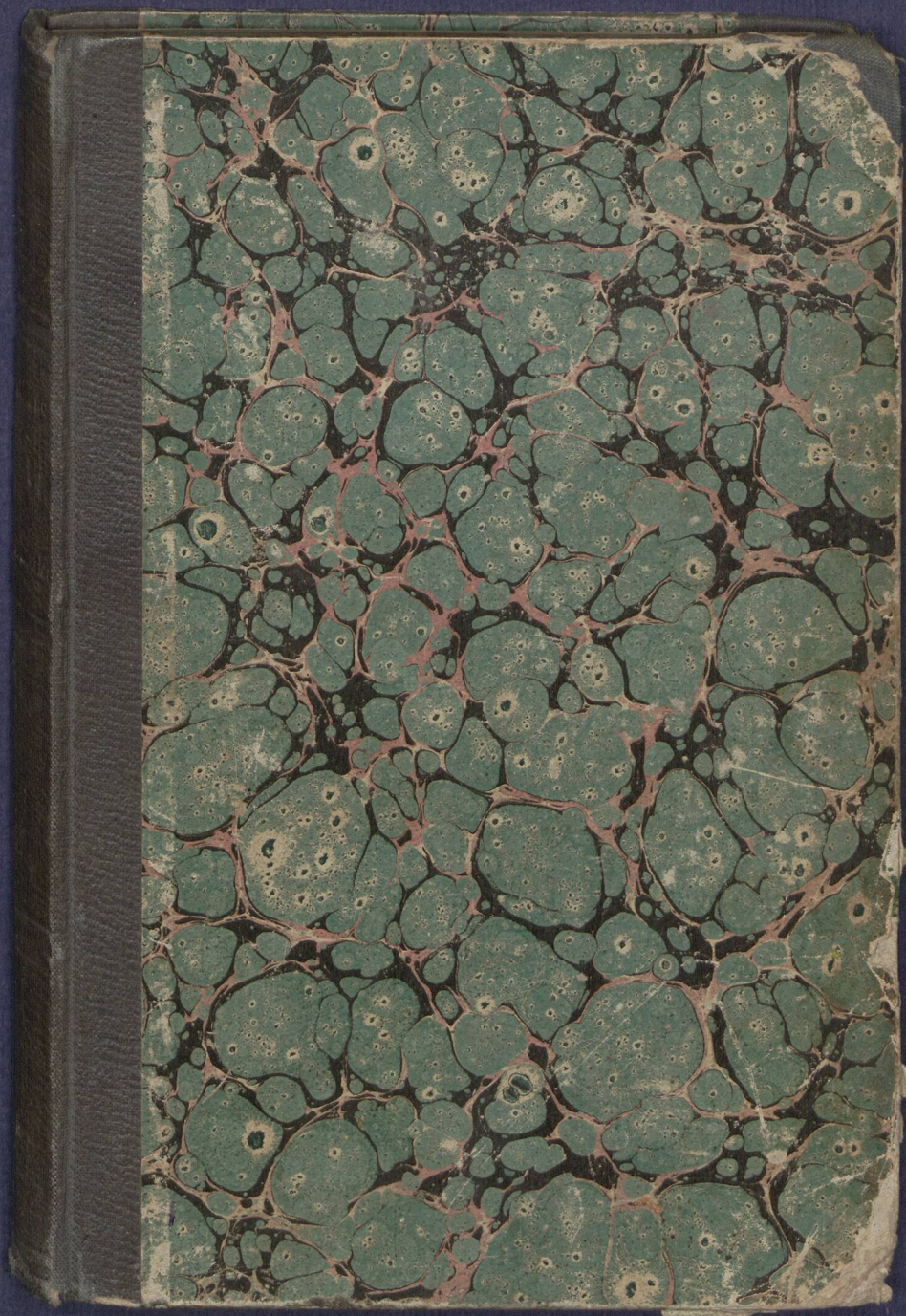
Hiem

POZNAŃ.

W KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1849.

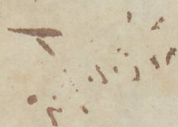
BIB. UAM
66 D 283





BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU im. A. MICKIEWICZA
W POZNANIU

dal. egr -



SZTUKA i MIŁOŚĆ.

DRAMAT

w 2ch aktach rzeczywistego życia

przez

MAURycego MANNA.



Heintz.

POZNAŃ.

W KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1849.

Bibl. UAM
66 D 283

STUTKA i MIKOSZ

THAMAT

463027 I

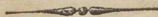
Handwritten signature



MAJ 1918
463027

SPIS RZECZY.

	Stron.
Na wstępie	VII.
Prolog	3.
Doba pierwsza	23.
Doba druga	75.
Epilog	129.
Jeszcze o Doktorze Karolu słów kilka	137.



Bochaterem — albo raczej — tak literatura tegoczesna mieć chce — człowiekiem dramatu — jest lekarz. Nazywać go będziemy Doktor Karol. O nim na wstępie słów kilka.

Urodzony w stołeczném mieście dawnéj polskiéj prowincyi, z ubogich rodziców — prawdziwe dziecko ludu — Karol, za staraniem jedynie biednéj matki (bo ojciec trzechletniem odumarł go chłopięciem) kończy szkoły gimnazyalne. Przechodzi na uniwersytet: naprzód w Heidelbergu, a potem w Berlinie.

Tam — równie jak w rodzinnem mieście — pracą dni całych zażywia Karol lampę, która bezsennym i nauce poświę-

conym nocom jego przyświeca. Często, w gorzkich zniechęcenia chwilach, pamiętne w starożytności *oleum perdidit* na myśli mu stawa. Uposażony wszakże wysoką umysłowością i żelazną wolą — trawiony żądzą i potrzebą wiedzenia — oddany umiejętności — zwycięża przeszkody i otrzymuje w dwudziestym drugim roku życia stopień doktora medycyny obu fakultetów.

Skoro los przeciwny w silną uderzy naturę i krzepkiej organizacyi nieszczęśliwych swych ciosów, wtedy najczęściej dobywa z jęj łona i w fatalnej doskonali szermierce wszystkie przymioty, jakie w sobie mieści charakter, nad którym się pastwi. Dusza Karola była szlachetna — serce było czyste: stąd ambicya do dobrego, a bezinteressowność granic nie mająca. Nieszczęścia, których doznał, odjęły mu tkliwość — zostawiły głęboką czułość na każde cierpienie. Samotność, w której przebywał, skupiając ogień serca — rozżarzała go więcej. Zawody i trudności, które miał do zwalczenia, i zwalczył stałością i energią; zazdrość, o którą trącał

w każdym niemal kroku dziennego poży-
cia, a którą pogardzać i upokarzać mu
się podobało — zrobiły go porywczym,
wyniosłym. Ta sama przeciwności koleją,
przerywana silną Karola wolą, gdy się na-
reszcie w świetną przemieniła karyerę,
pozwoliła mu nietykalnie przechować, dwie
zalety . . . dwa kosztowne, téj bogatęj na-
tury klejnoty — dobroć i prostotę. Do-
świadczenie, zasada empirycznych umie-
jętności i podstawa sztuki lekarskiej, sta-
nęło na przeszkodzie ku nabyciu tego, co
przez wychowanie było zaniedbaném —
uczuć religijnych. Miał wiarę Karol: —
ale nie wierzył tylko w wolę swoją, bo
w niej samęj jedyną znalazł był podporeę
wśród walk i cierpienia. Miał nadzieję;
— lecz nie ufał tylko sztuce, która usiło-
wania jego wdzięcznie uwieńczyła. Ko-
chał wreszcie Karol — lecz miłości zda-
wał się nie pojmować, tylko gdy mówił
o ojczyźnie — ludzkości i sławie.

Rysy twarzy szlachetne, wydatne, w wy-
razie nie twarde, lecz pewne, — oko by-
stre, przenikliwe, zachowujące w surowém
swém wejrzeniu dobroć i swobodę, —

wysoka i piękna postawa, — budowa ciała muskularna i sucha, — gesta czasem nagle, najczęściej skupione w poważnej godności, — oto fizyczność, jaką natura pod rozkazy wzniosłej duszy Karola oddała.

Wraca więc Karol jako lekarz do rodzinnego miasta. Obojętny na prywacye, złamany w niewygodach, dalej w skromnym mieszkaniu studenckie prowadzi życie. Oddaje się całkiem szpitalom — ubogim — ludzkości. Rzut oka zawsze trafny i podziwiająca znajomość sztuki, w Berlinie już wysoko ceniona, przysparzają mu niebawem wziętość niesłychaną. Słowa profesora jego z uniwersytetu, z ust do ust powtarzane, ustalają reputacyą. Sławny ten w podeszłym wieku lekarz, w ważnym bardzo przypadku wezwany do miasta, gdzie się Karol znajdował, oświadcza, że chce zwołać konsylium, lecz że nadewszystko żąda wiedzieć opinią Doktora Karola. Zaledwie ten ostatni we drzwiach się ukazał, powstaje staruszek, ściska mu ręce z prawdziwie serdecznym affektem, mówiąc z uśmiechem pełnym

przywiązania: — „Ale jakżeś nam urosł kochany kolego!“ — I w saméj rzeczy. Doktor Karol miał lat dwadzieścia cztery i dwa cale go od czasu wyjazdu z Berlina przybyło.

Nie zadługo spostrzegł się Karol, iż mu większego, nie apartamentu, ale przedpokoju potrzeba. Szczupłe pomieszkание pomieścić nie może przychodzących na poradę, którą codziennie o godzinie piątej rano bezpłatnie udziela. Najmuje więc inne, z dwóch wielkich pokoi złożone, w domu Aptekarza, u którego się stołuje. Bo Karol pomimo znacznych intrat nie zmienia w niczém trybu swego życia. Jedyny zbytek, którego sobie pozwala, są konie wierzchowe. Jazda konna odpowiada lepiej nagłości jego myśli — niepodległości woli. Upatruje w niej także znaczną oszczędność czasu. Wizyty za miastem — po wsiach, tym oddaje sposobem. Na większe odległości rozstawiają mu konie. Wytrwały na wszelkiego rodzaju znoje i fatygi, nieraz Doktor Karol idzie do szpitalu, lub odwiedza chorego, odbywszy w dniu piętnaście mil drogi.

Poszukiwany dla nauki i talentu przez wszystkich w prowincyi intelektualnie wykształconych ludzi; — ceniony wysoko i poważany od każdego dla cnót i przymiotów, — znany wszystkim dla szczęścia, które jego gorliwości w praktyce ciągle towarzyszy; — błogosławiony i wielbiony od ubogich, za bezinteresowność i nieustanne dobrodziejstwa, Karol staje się prawdziwie popularnym człowiekiem.

W téj to świetnej epoce życia Doktora Karola kładziemy scenę, o której Prolog traktuje. Prowadzi ona nas do zdarzenia — przedmiotu Akcyi — które się w rodzinném mieście Doktora Karola odbywa.

Mówiąc: Akcyą, nie używamy właściwego wyrażenia. Ściśle rzeczy biorąc w dramacie niniejszym nie ma *akcyi* — jest tylko: *narracya*.

Wybraliśmy zaś dramatyczną formę z powodu, że forma ta najwierniej szkicuje człowieka. Zdaje nam się, że w dyalogu lepiej stosunki życia rzeczywistego ujęte być mogą — takie zaś sam tytuł dramatu zapowiada; — że dyalog najwłaściwszym jest kształtem dla szczegó-

łów, jakie dzień w biegu swoim naznacza. Wybraliśmy tę formę dla tego zwłaszcza, że monolog niezaprzeczenie najlepiej — najżywiej i najzwieźleń stan duszy maluje: a dramat nasz jest dramatem wewnętrznym (intime) w najwyłączniejszém tego wyrazu znaczeniu — jest, jeżeli tak powiedzieć wolno, dramatem *w sobie*.

Wiemy, że kształt ten powieści najtrudniejszym jest do przeprowadzenia, że najwięcej reguł do zachowania w wykonaniu przedstawia. Nie pochlebiamy sobie, abyśmy wszystkie przeszkody zwyciężyć — i zadaniu godnie odpowiedzieć umieli. Cała nasza nadzieja, że charakter Doktora Karola wyjedna może niejakię pobłażanie dla słabości wyobraźni i nieudolności pióra.

Grudzień 1848.



low, jakie dają w tym względzie
wystąpiły to formy, które
to monolog historyczny, który
najwyżej i najczystej jest
a dyma nas, jest to w tym
(intym) w tym, który jest
znaczenie — jest, który tak
wolno, dyma w tym
Tym, to jest ten, który
trudniejszy jest do przeobrażenia, to
należy, który jest do przeobrażenia, to
namu przedstawia. To, który jest
nie, który jest, który jest
cież — i z tym, który jest
umie. Gdzie nas, który jest
Doktor Karol, który jest
podanie, który jest
należy, który jest.

Grudzień 1818.

SZTUKA I MIŁOŚĆ.

DRAMAT

w dwóch dobach rzeczywistego życia.

STUKA I WISOC

DRAMA

w dwóch aktach rozrywkowego

OSOBY.

Profog.

O S O B Y.

HRABIA JAN,	{	przyjaciele Doktora Karola.
WŁADYSŁAW,		
SŁUŻĄCY.		

Rzecz dzieje się w pomieszkaniu Hrabiego Jana —
w końcu Listopada roku 1830.

Gabinet Hrabiego Jana. — Hrabia siedzi przed sto-
likiem i czyta. —

WŁADYSŁAW.

(*Wchodząc*). Dzień dobry Janie.

HRABIA.

Jak się masz Władysławie — czy dzisiaj przy-
jechałeś?

WŁADYSŁAW.

Co dopiero, i zaraz przychodzę do Ciebie do-
wiedzieć się, jak się ma twoja kuzyna. List mnie
wczoraj zatrwożył

HRABIA.

I miał czego — (*przysuwając krzesło*) siadaj. Kassylida jest mocno chora — lubo, jak to mówią, złego jeszcze nic nie ma. Ale słabość ciężka — niebezpieczna. Doktorzy według zwyczaju nie chcą wyraźnie się oświadczyć — by się nie skompromitować — jednak widzę ich wachających się — niespokojnych ... Cała moja nadzieja dla Kassylidy w Karolu.

WŁADYSŁAW.

Widziałeś go dzisiaj?

HRABIA.

Dzisiaj? .. chyba żartujesz ... godzina, dziewiąta z rana! Toć trzeba być żebrakiem lub leżeć w szpitalu, aby Karola o téj zobaczyć godzinie.

WŁADYSŁAW.

Prawda ... zapomniałem. A wczoraj?

HRABIA.

Wczoraj i zawczoraj .. i codzień przy łożku choréj Kassylidy ... pilnuje ją z pieczołowitością prawdziwego przyjaciela.

WŁADYSŁAW.

Powiedz mi — jakim Ci się wtedy wydaje?

HRABIA.

(Z zadziwieniem). Kto? . . .

WŁADYSŁAW.

Karol

HRABIA.

Doktor? . . .

WŁADYSŁAW.

Tak jest . . . on . . . Chciałbym wiedzieć, czy nie zmienia w czém sposobu postępowania, z jakim się zwykle z pacyentami obchodzi?

HRABIA.

Doktor? . . on tam — przy Kassyldzie — taki jak wszędzie — taki, jakim go znasz od dawna . . . jakim go sto razy widziałeś. W obec cierpienia spokojny — niewzruszony: lekki uśmiech w ułdze, którą sprawił, dopiero znajduje . . . Ale czemu mnie o to pytasz? . .

WŁADYSŁAW.

Więc żadnej nie spostrzegłeś zmiany? . .

HRABIA.

Najmniejszej. —

WŁADYSŁAW.

(Z przyciskiem). Żadnej? — żadnego niezwykłego drgnienia? .. znaku bojaźni ... trwogi ... żalości? ... łzy w oczach? ...

HRABIA.

Nic wcale, powtarzam. Ale cóż znaczy ta inkwizycya? ..

WŁADYSŁAW.

(Do siebie). Zwyciężył! ... co to za człowiek! ... co to za siła woli! ...

HRABIA.

Proszę Cię, powiedz — bo nic nie rozumiem, a ciekowość moję, wyznaję, do najwyższego pobudziłeś stopnia. —

WŁADYSŁAW.

Pojmuję — i po tém, co mówisz ... po tém zaręczeniu nie widzę, czemu bym jój nie miał zaspokoić. Pytałem się Ciebie o te szczegóły, bo wiem, że nasz przyjaciel był w Kassyldzie zakochany.

HRABIA

(zrywa się i staje).

Zakochany? ... to być nie może!

WŁADYSŁAW.

Było przecie, jak mówię. —

HRABIA

(chodzi po pokoju).

On? ... doktor Karol? ... zakochany? ... to być nie może, powtarzam. — On? ... którego Bogiem Polska, a religią Ludzkość ... on ... który oddał się całej ludzkości w nadziei, że przez nią Boga swego kiedyś ujrzyć potrafi ... Nie! miłość nie może znaleźć miejsca w sercu tak zajętym ... w umyśle tak czynnym ... w życiu tak pracowitym ...

WŁADYSŁAW.

Masz rację — ja to samo myślałem. —

HRABIA

(zatrzymuje się).

Zapewne kuchnia moja ... kobieta, jak Kasylida z tym ognistym sercem w ciele tak schorzałym, przy tylu prostocie — z tak bujną imaginacją — z opiniami tak stałymi ... wykończonemi — z tą excentrycznością w wykonaniu energicznem tego, co jej się wola nazywać podobą — szczególnież też z tą żądzą niepohamowaną ofiary i poświęcenia ... zapewne, mogła zrobić wrażenie na

człowieku, jak Karol. Nie téż naturalniejszego nad tę sympatyą, którą czuli jedno ku drugiemu ... Ależ miłość ... miłość? .. czy wystawiasz Ty sobie Władysławie to uczucie w Karolu? ... czy nie widzisz tę burzę straszliwą te druzgoty ... te łomy ... konieczne jój skutki? .. bo czyż nie z gwałtownością pioruna namiętność uderzyłby musiała chcąc się przedrzeć w ten charakter z granitu? ... (*siadając*). Nie, mój przyjacielu — uwiodły Cię pozory prostej przyjaźni, którą widziałem ... na którą patrzę ciągle ... przyjaźń tak spokojna i wyraźna, że co do mnie, przypuścić nie mogę innego między niemi uczucia.

WŁADYSŁAW.

Twój sceptycyzm nie dziwi mnie wcale. Byłem i ja niewiernym Tomaszem, aż do chwili, gdzie się dowiedziałem.

HRABIA.

(*Z żywością*). Od kogoś się dowiedział? ...

WŁADYSŁAW.

Od niego. —

HRABIA.

(*Powstając*). Od Karola? ...

WŁADYSŁAW.

Tak jest — od Karola.

HRABIA.

Od doktora ... to rzecz niesłychana! ... i jakimże dla Boga sposobem? ...

WŁADYSŁAW.

Najprościejszym w świecie. Usiądź i posłuchaj.

(Hrabia siada).

Przypominasz sobie zapewne nagłą w humorze Karola zmianę ... we dwa lub trzy lata po powrocie z Berlina? — On taki otwarty i dobry, stał się raptem ponurym ... gniewliwym: — w rozmowie przebiegała głęboka melankolia, a niespokojność w ruchach świadczyła o wewnętrznej walce.

HRABIA.

Tak — tak — mawiał wtedy o projektach podróży.

WŁADYSŁAW.

Otóż właśnie. — Ja, za nadto znałem Karola, aby mnie widok tych symptomatów nie miał niepokoić, prawie nie nieznaczące dla świata — mnie przestraszały. Żyjąc w zażyłości z Karolem

jeszcze w uniwersytecie, wiedziałem, ile on cierpieć musiał, by spokojność i myśl swobodną utrzymać. Oszczędzę Ci domysłów poszukiwań, do których stan moralny doktora był dla mnie pobudką — słowem — włożyłem to na karb jego samotności i w konkluzyi ułożyłem, że się winien ożenić.

HRABIA.

Ale z kim? . . .

WŁADYSŁAW.

To też sęk. — Przechodząc przez sklep właściciela domu, by odwiedzić Karola, spotykałem był nieraz młodą i piękną osobę, mniej więcej ośm-nastoletnią . . .

HRABIA.

Znam ją także . . . prześliczna — jest tam jeszcze — to córka aptekarza Romualda. —

WŁADYSŁAW.

Ona sama. — Otóż miałem ją w podejrzeniu, że kocha Karola. Jakżeż nie mieć téj myśli? . . . Każdy kto go zna lepiej, ulega tym czarownym przymiotom, jakie z jego natury nadzwyczajnej, a tak dziwnie dobrej wynikają. Tysiące talarów, które płaci za przepisane dla ubogich le-

karstwa, a które prócz należnej za najem pomieszkania summy corocznie w ojca przechodziły ręce — musiały swym wspaniałej szczodroty blaskiem, córki zażywiać entuzjazm. Uważałem ją pilnie — wiesz Janie — w czasie choroby piersiowej przez Karola przebytą, która dotąd zostawiła ślady — i przekonałem się o słuszności mojej konjektury.

HRABIA.

I myślałeś, że toby była dla Karola osoba? ..

WŁADYSŁAW.

Tak jest — myślałem. Sądziłem bowiem, że miłość już na zawsze uduszona jest w sercu wyłącznie przejętą żądzą dla dobra kraju — sądziłem, jak ty Janie, że jest niepodobną w egzystencji tak przepełnionej. Karol mówił mi często ... pochlebnie .. z dobrocią i przyjaźnią o Helenie — to jej imię: — mawiał jakby to czynił ojciec o swoim dziecięciu. Chciałem powierzyć więc Helenę tej miotanej czemsiś tajemniczym duszy — w nadziei, że obowiązek tak słodki spokój jej przyniesie. Łatwość zawarcia tego związku — bezinteresowność Karola — na koniec przekonanie, że małżeństwo to nie mogło nigdy stać się w przy-

szłości dla niego przeszkodą najwięcej mnie do tego zdecydowało przedsięwzięcia. —

HRABIA.

(Z uśmiechem). Dodaj, że zasady demokratyczne tak głośno przez doktora proklamowane były ci więcej jeszcze, niż ostatnia, ta przyczyna, do tego kroku pobudką?

WŁADYSŁAW.

W istocie — dobrze mówisz. Udzieliłem planu mego Twemu kuzynowi — Eustachemu. Karol — wiesz — często bywał w jego domu, jako doktor Kassylidy i wiele ku jój bratu okazywał przychylności. Eustachy podzielał moje zdanie — obiecał pójść razem i popierać. Udaliśmy się więc jednej nocy do doktora — i zastali jak zawsze zatopionego w książkach. Przyjął nas serdecznie, ale z tą surowością — która go nigdy nie porzuca. Pomimo pewnego rodzaju niedowoli — powiem nawet bojaźni, która się zawsze przejmuję w jego obecności — pomimo, mówię Ci, tego uczucia prawdziwej jego wyższości, a trudnego przedmiotu . . . silny będąc przekonaniem, że chcę dobrze czynić — po prostu przystąpiłem do rzeczy. Słuchał mnie Karol spokojnie — bez najmniejszej nie-

cierpliwości — bez oznaki wstrętu. Gdym skończył, miałem sprawę za wygraną. Przeszła chwila milczenia — podczas której czoło Karola się zachmurzyło — i brwi się ściągnęły. Moi przyjaciele — rzekł wreszcie — to być nie może. — Dla czego? zapytałem. — Obrócił się wtedy do Eustachego i odpowiedział tonem najnaturalniejszym w świecie: bo twoją siostrę kocham . . .

HRABIA.

(Porywczo). A to nie do pojęcia!

WŁADYSŁAW.

Osądź nasze zdziwienie — staliśmy osłupieni.

HRABIA.

Ah spodziewam się — i było też czego . . .
vox faucibus haesit!

WŁADYSŁAW.

Szczerością i otwartością za szczerotę i otwartość Waszą odplacić winienem — ciągnął dalej po krótkiej pauzie Karol — wszystko jest niepodobnem i być nie może dla mnie — co się na drodze mojej nie znajduje. Znam ją doskonale — bom ją przejrzał w całej jej przestrzeni — przyjąłem ją — nią idę. Sam na nią jestem — sam

na niej pozostać muszę ... tak chcę! ... Po-
wstał — przeszedł wzdłuż pokoju razy kilka —
wrócił — wyciągnął ku nam obie ręce .. i rzekł
z prostotą, która się w nas boleśnie odbiła: Dzie-
kuje wam kochani za waszą troskliwość Do-
wód mojej wdzięczności macie w tém, com wam
powiedział Zatrzymał się — i pokrótce do-
dał z tym akcentem decyzyi, który, jak wiesz Ja-
nie, żadnej nie przypuszcza repliki: Dałem wam
ten dowód, byście mi już nigdy nie więcej w tym
przedmiocie nie mówili — uczyniłem to, bo uzna-
łem za sposób, by świat o tém nie wiedział . . . tak
jak sam o tém wiedzieć nie chcę! . . Nie trwo-
źcie się o mnie — niech was samotność moja nie
przeraża ... Jest ona w mojem powołaniu, a wie-
cie — dorzucił z uśmiechem — czy moję karierę
miłuję? ... Wiercie zwłaszcza méj woli! ...
ufajcie jój. — Ona losy dziecka ludu zwał-
czyła ... ona, nieszczęście z twardej potrafiła
wyrzucić kolei — ona może przeznaczenie prze-
mogła ... Ufajcie jój ... ona przytłumi namię-
tność silną głęboką ... ale powtarzam wam, dla
mnie nie podobną ... Tak jest — niemoże-
bną to właściwy wyraz Ścisnął nas
za ręce i usiadł. — Czoło się wypogodziło —

twarz swobodną przybrała expressyą. Spokojnie zaczął o polityce rozmawiać.

HRABIA.

Nie mogę przyjść do siebie z ciągłego podziwu Cóż to za szczególny człowiek ten Karol! . . . A Kassylida, nigdy o tém nie wiedziała — co? — Władysławie? . .

WŁADYSŁAW.

Nie myślę, aby brat był jój kiedy to zwierzenie Karola objawił. Ja, wierząc w jego siłę moralną — lecz nie widząc koniecznej celibatu potrzeby — próbowałem raz jeszcze szczęścia mu przychylić. Kassylida, od śmierci rodziców żyje w odosobnieniu — używa całkowitej niepodległości osoby i majątku, — zasady jój nadzwyczaj liberalne — dowody żywój sympatyi, któremi, widziałem nieraz, tak chojnie obsypuje Karola — wszystko to . . . ośmielało mnie do nowój wyprawy. Pewnego wieczora . . . po długiej o Karolu rozmowie, namieniłem zręcznie, jak bardzo życzyłem sobie módz go ożenić . . . i dodałem podstępne oświadczenie, że znam zaporę, przed którą znika dla mnie wszelka udania się szansa. Naprowadziłem pomału konwersacyą na nią samą — i to dosyć delikatnie, aby jój zostawić

pole do dania mi choć jedném słówkiem odwagi do całkowitej konfidencji.... Ale wszystko na-próżno. Podobnie, jak u Karola, żaden gest... żadno poruszenie... najlichszej nawet nie zdradziło emocyi. Z naiwnością i doskonałą gracyą opowiadała mi Kassylida swoją dla Karola przyjaźń — rozwodziła się wielce nad wdzięcznością, którą mu winna i winną będzie całe życie, ale — patrz Janie na szczególność spotkania — ale, dodała, ja lepiej niż ktokolwiek rozumiem jego samotności pociąg — gdy sama jestem zdecydowana nigdy za mąż nie pójść....

HRABIA.

W samej rzeczy — dziwnie! osobliwie!... No! — przynajmniej się nie zawiodłem na Kassyldzie. U niej nie było tylko uczucie przyjaźni. Co zaś do naszego przyjaciela, wyznam ci szczerze, że ja podobną siłę woli — z niebytem wszelkiego uczucia, na jednej szali kładę.

WŁADYSŁAW.

Być może — a może też upadło pod brzemieniem czasu. Blisko pięć lat upływa, jak nam sekret swój odkrył — mówić Ci niepotrzebuję, czy choć raz od téj doby na wargach naszych

postał. Wydałem go dzisiaj — bo widzę, że martwy. Po tém, coś mi powiedział o Karolu przy łożu cierpiącej Kassylidy . . . chorój i to niebezpiecznie — pewny jestem, że sekret istnąć przestał.

HRABIA.

I to dawno — już dawno. Zaręczam Cię Władysławie, nie potrzebowałeś tego ostatniego dowodu panowania Karola nad sobą. Pan to absolutny! . . . Pięć lat temu mówisz? . . . i ani jedna zapomnienia chwila? . . . ani godzina szалу . . . uniesienia . . . niewstrzymanego pociągu? . . . oh jakże miał racyą doktor, rzucić wam te wyrazy: ufajcie méj woli! . . .

(Służący wchodzi.)

Co powiesz?

SŁUŻĄCY.

Pan doktor Karol kazał Panu Hrabiemu oświadczyć, że Pannie Kassylidzie dzisiaj dużo gorzej — prosi zatem, abyś Pan Hrabia mógł tam przyjść, gdyż chciałby z nim przed odejściem pomówić.

HRABIA.

Odpowiedz, że przybywam natychmiast.

(*Służący odchodzi — Hrabia do wyjścia się gotuje.*)

WŁADYSŁAW.

Więc brata jój tu nie ma?

HRABIA.

Właśnie téż, że nie ma Eustachego — wczoraj posłałem do niego sztafetę. Musiała nie zastać go w domu — boby już był zdążył. — Biedna Kasylida! . . umrze niezawodnie! . . .

WŁADYSŁAW.

Nie trać otuchy Janie — mam dobre przecucia. —

HRABIA.

Bodajby prawdziwe! — Bądź zdrow . . .

WŁADYSŁAW.

Odprowadzę Cię — mam przykry z landszaftą interest — muszę się Pawła poradzić — w jedną więc idziemy stronę. —

(*Odchodzi.*)

KONIEC PROLOGU.

SZTUKA I MIŁOŚĆ.

DRAMAT

w dwóch dobach rzeczywistego życia.

OSOBY.

DOKTOR KAROL.

KASSYLD.

EUSTACHY, jój brat.

HRABIA JAN, jój krewny.

WŁADYSŁAW, przyjaciel Doktora Karola.

ROMUALD, aptekarz.

HELENA, jego córka.

JAKÓB, służący Doktora Karola.

DWAJ LEKARZE.

ELEW MEDYCYNY.

DOZORCA SZPITALU.

UBOGA KOBIETA.

CHŁOP.

BRYFTREGER.

FILIP, lokaj.

DZIEWCZYNA, służąca niemiecka.

PODOFICER.

SZYLDWACH.

KOBIETY, służące Kassylidy.

STRÓŻE przy szpitalu.

(Rzecz dzieje się w mieście rodzinném Doktora Karola.)

DOBA PIERWSZA.



DORA PIKUSZKA

Pokój doktora Karola — między dwoma oknami stolik do pisania — na nim książki ... papiery — lampa z zieloną zasłoną — na prawo szafa otwarta, pełna ksiąg .. foliałów — na lewo kanapa — przed nią okrągły stół — kilka stołków w około — dalej na lewo komin — na nim zegar — naprzeciw komina łóżko proste, jakby obozowe — na ścianie wisi para pistoletów — naprzeciwko stolika do pisania drzwi w głębi na pół otwarte — przez nie widać obszerny przedpokój oświetlony małym kagankiem — ławki do koła ścian — na jednej spoczywa człowiek na wpół ubrany.

DOKTOR.

Karol siedzi przed stolikiem do pisania w krześle safianowem — nieruchomy — z założonemi na piersiach rękami — z głową na dół zwistą — oczy w jedno wlepione miejsce świadczą głębokie zadumanie — po chwili podnosi zwolna głowę.

To ona ... Kassylida! ... wciąż ona! ... jój obraz wciąż przedemną — jój rysy schudzone — wzrok boleści pełen — wyraz jedno cierpienie — żądają méj pomocy ... błagają o ratunek i wyrzucają niemoc — a przeszkadzają ciągle w myśleniu — czytaniu — szukaniu. ...

(Pauza.)

Każda chwila, co od przeszłości oddala, to smutne przekonanie ... gorzkie doświadczenie! W Heidelbergu — spracowany — znużony — dla wypoczynku błąkałem po ruinach — ot tak mi się zda nie dawno ... marzyłem ... o miłości — o sercu — i głos jakiś proroczy w samym sobie słyszałem: — Nie, ty nie będziesz kochał!.. nie dla twego serca to uczucie Karolu! ... To być nie może! Wierzyłem — jakże życia nieświadom ... oh, jakże zarożumiał byłem! gdym głosowi zawierzył — A później? to już tak niedawno ... to wczoraj ... w Berlinie ... gdy żałowałem, że trudów mojej sztuki słodzić nigdy nie będę mógł myśla ... kochaną leczć kiedyś osobę! ... że nigdy nie poznam tego nad wyraz szczęścia!.. oh jakże wtedy z życia nic jeszcze nie widziałem ... oh jakże głupi byłem! ...

(Zamyśla się — i znów mówi po chwili. —)

Stoję na ostatecznej granicy sztuki — heroicznego muszę użyć środka — — to być, albo nie być ... szekspirowska kwestya — Hamlet mówił te słowa — dla siebie *(z uśmiechem)* dla siebie?.. to łatwo — jedno skinienie woli ... tak chcę — ją roztrzyga. — Co chcę — to się stanie ... stać

się musi — — to łatwo! ... Ach wrzucić na szalę
być lub nie być dla kogo ... dla kogo, co się kocha
— i nie wiedzieć, czy życie, czyli śmierć się rzu-
ca? ... to okropność! .. to jest heroiczny środek —
tam to wiedzie sztuka — przepaść ... nad którą
stoję....

(Chwila niespokojnego milczenia. —)

A cóż to za cierpienie! .. jakże boli ta bojaźń
— takie powątpiewanie! .. jakże męczy to wacha-
nie w użyciu tego, co się wie .. co się umie! ..
Chcieć tyle i tak silnie .. chcieć więcej, niżli sztuka
— a nie módz tyle nawet ... ile może sztuka ...
dla braku spokojności — zimnej krwi — decyzji! ..
Boję się ... bo wola milczy ... O niestety! miłość
to ogień, co pali — ale nie oświeca! ..

(Po pauzie.)

Lecz dawniej? ... umiałem chcieć — spokojny
byłem — pewny ... a przecie kochałem. Tak —
prawda — ale ta, co kochałem, nie była przy sko-
nie....

(Zegar bije — doktor wstaje i słucha. —)

Północ — godzina przeszło jak odszedłem —
cóżem zrobił? .. przebieżmy w myśli całą jeszcze
raz chorobę....

(Chodzi po pokoju — potem staje przed stolikiem i rachuje.)

Dwódziesiąty pierwszy dzień — tak — niezawodnie dzień krytyczny — Moxa postawiona o dziesiątej godzinie ... zobaczymy, jakie winny być skutki. ...

(siada i bierze książkę.)

W każdy sposób nie gwałtownego zejść nie może. ...

(Czyta.)

To wiem — nie tracimy czasu, by nie było za późno ... za późno! ... straszne słowo ... drészcz mnie wskrósł przechodzi. —

(Rzuca książkę — bierze inną i szuka.)

Aha!.. otóż to właśnie...

(Słychać gwałtowne dzwonienie.)

Cóż to być może? strach mnie ogarnia. .

(Wstaje.)

Ale nie ... to być nie może ... to nie. —

(Siada i woła.)

Jakóbie!.. ktoś dzwoni ... Jakóbie! idź zobaczyć — może mnie kto potrzebuje ...

(Człowiek w przedpokoju wstaje i wychodzi.)

Nie — to być nie może — to nie od Kassyldy — cóżby tak niespodziewanego zajść miało?...
(Patrzy w książkę.)

Ot nowy jeszcze jeden zaspokajający dowód...

JAKOB

(powraca i mówi z przedpokoju.)

Człowiek od panny Kassyldy przybiegł donieść,
że pani jego umarła.

DOKTOR.

(osłupiały.) Umarła!?...

(Porywa się.)

Umarła!.. przeklęty — za późno. —

(Odpycha książki.)

Umarła — precz odemnie próżna sztuko!..

(Porywa za kapelusz — idzie ku drzwiom i staje.)

Umarła?... to być nie może ... to sen. —

(Wychodzi.)

Sypialnia Kassylidy — drzwi uchylone — naprzeciwko drzwi w oknie dwóch lekarzy rozmawia po cichu — na lewo łóżko, na którem spoczywa Kassylida przykryta białą — w około łóżka klęczy kilka kobiet — na prawo hrabia Jan o piec oparty — dalej drugie drzwi do przedpokoju wiodące.

DOKTOR.

(Karol na progu drzwi głównych — do siebie.)

Te drzwi otwarte!... więc nie sen — to na jawie...

(Stoi i zatacza okiem po pokoju.)

HRABIA

(do siebie.) Ach to on .. doktor — biedny człowiek, jakżeżby cierpieć musiał ... gdyby...

PIERWSZY LEKARZ.

Otóż nasz kolega — zdaje się zdziwiony.

DRUGI LEKARZ.

Wszystko jedno — zaraz łajać będzie. —

(Doktor idzie po mału do łóżka — daje znak kobietom, by się oddaliły — bierze lampę ze stolika obok stojącego — odrzuca prześcieradło kryjące rysy umarłej — zaczyna doktorski examina.)

HRABIA.

Nie spuszcza jmy go z oka — cóż za spokojność!.. jaki zimny — jak puls domacać się stara. —

DOKTOR

(puszcza rękę Kassylidy.)

Ani znaku *(półgłosem)* o moje biedne serce!...

HRABIA

(do siebie) Szuka teraz bicia serca, z jakąż doktorską zimnotą! Tak .. szukaj ... napróżno!.. o czemuż tu Władysława nie ma — przekonałby się, czy to jest kochanek!..

DOKTOR.

Nie! żadnej iskiarki — nadziei! — Kończmy ... *(dotykając nóg)* śmierć .. zimna!.. *(ciężkim głosem nachylając się)* Kassylido!.. mnie zimniej, jak Tobie!...

HRABIA.

Jakże na nią zarzuca pośmiertne przykrycie... jakto?... i ani jednej łzy uronić nie zdoła?... ani

jednego nie uchwyćę serdecznego gestu? .. To nie-
podobna .. tyle natura ludzka nawet najsilniejsza
dokazać nie jestw stanie. —

DOKTOR

(po krótkiem zamyśleniu stawia lampę.)

Consummatum est!

HRABIA.

Nie kochał jój nigdy!...

(Idzie na przeciw doktora, który ku oknu zmierza.)

Tak więc Karolu ... umarła?

DOKTOR

(z prostotą.) Widzisz, jak ja — skończyła!
(do lekarzy). Prosiłem był Panów, abyście mi
znać dali, skoro tylko najmniejszą w stanie cho-
roby spostrzeżecie zmianę — nie uczyniliście
tego. —

DRUGI LEKARZ.

(Cicho do pierwszego.) A co nie mówiłem?..

PIERWSZY LEKARZ.

Nie bylibyśmy omieszkali tak zrobić, lecz mo-
żności nie było. —

DOKTOR.

I dla czegoż czekaliście śmierci, aby mnie przywołać? ...

DRUGI LEKARZ.

Dla tego właśnie, żeśmy jój nie czekali — przyszła tak niespodzianie.

DOKTOR.

(Z żywością). Bez poprzedniego osłabienia?..

PIERWSZY LEKARZ.

Bez najmniejszego wyniszczenia sił — nasze doświadczenie, wyznajemy, nie było wystarczającym. —

(Doktor robi poruszenie zadziwienia).

Tak jest panie — skończyła rzecz można bez skonu — spazm mały nie nie znaczący ... ledwo poruszenie podobne do czkawki. —

DOKTOR.

(Z namysłem). Doprawdy? ... to rzecz nadzwyczajna. —

DRUGI LEKARZ.

(Do Hrabiego). Po użytych przez nas środkach — szczególnie po stawieniu moxy śmierć ta pra-

wie nagle jest wyjątkowém zdarzeniem, zagadką dla sztuki. W jój to imieniu chcemy prosić Pana Hrabiego, aby pozwolił przez dyssekcją, do-
wiedzieć się istotnej jój przyczyny. Pan doktor Karol przyczyni się, sądzimy, do naszej prośby, bo patrz Panie Hrabio, *(wskazując na doktora)* z jaką uwagą cały skład jój rysów przechodzi.

DOKTOR.

(Podczas gdy lekarz mówił do hrabiego Jana, poszedł do łóżka umarłej, odkrył jój twarz i z pilnością się w nią wpatruje).

(Do siebie). Na nie — to na nie wszystko!
Ja nie widzę trupa — sam za nadto cierpię.
(Bierze kapelusz i wraca do okna).

PIERWSZY LEKARZ.

Zdanie nam swe powie.

DOKTOR.

(Podaje rękę hrabiemu).

Bądź zdrow Janie — w dzień wrócę.

HRABIA.

Bądź zdrow przyjacielu! *(na stronie)* co za dziwny człowiek!...

PIERWSZY LEKARZ.

Słówek Panie kolego: jakaż twoja opinja
o wypadku tak ciekawym?

DOKTOR.

(Przerrywając). I tak nieszczęśliwym!
Nie rozumiem go wcale. Żegnam Panów.
(Wychodzi i starannie drzwi za sobą zamyka).

HRABIA.

I my tu więcéj podobno nie mamy co robić
— kobiety się zostaną — przejdźmy do salonu.

(Odchodzi).

Pokój doktora Karola.

DOKTOR.

(Wchodzi — kładzie kapelusz na stoliku — i rzuca się na krzesło, jakby wielkim tłoczony ciężarem — po chwili milczenia.)

Tak — istotnie — to było na nie! ... Trupa nie widziałem! .. ja widziałem Kassylę .. śpiącą — snem spokojnym — kołysaną na skrzydłach najpiękniejszych marzeń! ... Twarz jej nie zmieniła wyrazu — lecz serce bić przestało — członki zlodowaciały — umarła! ... Umarła? a ja — ja — Doktor Karol nie mogłem tego widzieć? ... ja — odejść musiałem? ... Cóż się więc zemną dzieje!...

(bierze głowę oburącz i spiera na kolanach — po chwili wstaje i chodzi po pokoju).

Czemuż ja ją porzucił? .. czemu za nadchodzącą śmiercią trop nie kroczyłem! ... ileż to raz

udało mi się pochwycić życie już na fatalnej pochyłości skonu — w samej chwili, gdy już nieodwołalne pożegnanie świata wyrzekało. —

(*Staje*).

Lecz podobno mówili tamci, że śmierć nagle zaskoczyła — tak — tak — przyszła niespodziewanie — wa — nie mówili (*z goryczą*). Ciekawy dla nich wypadek — w samej rzeczy. — Zda mi się, że wyraz dyssekcyja uderzył me uszy... że sztuka tego żąda... (*jakby przebudzony*). A ja sam? od jakiegoż to czasu sztuka dla mnie obcą... obojętną? ... nie dosyćżem jęj przyniósł poświęceń w ofierze? ... po cóż wreszcie przyszedłem tu — kiedy tam ona umierała?...

(*Patrzy na stół i spostrzega otwarte książki*).

Otóż pamięć mi wraca — do sztuki tu przyszedłem ... do sztuki! do nięj, aby ją błagać o pomoc ... o światło! ... do nięj — do celu mych nauk méj pracy! ... do nięj — jedynęj w mych cierpieniach pociechy ... (*z exaltacyą*) Sztuko! ty mnie wołasz? nie prawda? ... Oto przychodzę na twe zawołanie — oto jestem — rozkazuj! ..

(Idzie szybko do stolika — siada i czyta — lecz po chwili przestaje i znużony opiera się przechylając głowę w tył krzesła.)

Nie — czytać nie mogę — ciało upada ...
potrzebuję spoczynku — czuję to — położę się,
by spać kilka godzin.

(Kładzie się na łóżko — po chwili się zrywa.)

Spać! ... oh to gorzkie szyderstwo! ...

(Chodzi po pokoju.)

Ale przecie by myśleć jak należy — jak powinienem — muszę trochę wypocząć — (zdecyzująco) więc śpijmy. —

(Kładzie się.)

Niepodobna? ... o nie — bo chcę spać.

(Po chwili.)

Jakże tu zimno. —

(Przykrywa się płaszczem.)

Będę spał! —

(Zasypia — po niejakim czasie przebudza się i twarz rękami zakrywa.)

Srogie przebudzenie! — Umarła! ...

(Długie milczenie, podczas którego siedzi na łóżku z spuszczoną głową.)

Uzbrójmy się w wolę. —

(Wstaje i chodzi po pokoju)

Jestże co do czynienia? — otóż całe zadanie.

(Zatrzymuje się nagle i uderza ręką o czoło).

Czyż wczoraj nie postawiono moxy chorój No. 6.
zda mi się? ... Choroba téj kobiety ma cokolwiek
analogii ... więc idźmy natychmiast.

(Porywa za kapelusz i staje).

Nadaremnie ... wszak Kassylida umarła — o to
nie — bo to dla sztuki — dla sztuki!

(Wybiega z pośpiechem).

Sala w miejskim szpitalu — napelniona łózkami — oświeca ją lampa zawieszona u suffitu — dwoje okien — dwoje drzwi otwartych — jedne prowadzą do całkiem podobnej sali — drugie do małego gabinetu, gdzie widać młodego człowieka siedzącego przy stoliku i piszącego — dozórcy i stróże przechodzą usługując chorym — nad każdym łóżkiem wisi tabliczka z numerem — pod No. 6. spoczywa kobieta z zamkniętymi oczami — po głośnym, a ciężkim oddechu wiedzieć tylko można, że żyje. —

DOKTOR.

(Karol wchodzi do sali — mija kilka łózek i zatrzymuje się przed tém ostatniem — za nim jeden z dozorców).

Kto miał nadzór téj nocy?

DOZORCA.

Pan Elew.

DOKTOR.

Gdzie jest?

DOZORCA.

Pisze w izdebce ustępowój.

DOKTOR.

Powiedz mu, że tu jestem — chciałbym z nim mówić.

(Doktor zostaje przy łóżku w obserwacji choréj — dozorca idzie do gabinetu i ciągnie Elewa za suknię).

ELEW.

(Piszgoc). Cóż tam znowu?

DOZORCA.

Panie! Doktor Karol przyszedł i woła Pana.

ELEW.

(Obracając się). Doktor Karol o téj godzinie?

(Wstaje i z pośpiechem wchodzi do sali).

Jestem na rozkazy Panie doktorze — przepraszam, że rapporta jeszcze nie wykończyłem — szóstka, zdaje mi się, nie była ...

DOKTOR.

Nic nie szkodzi — przeczytam je później. — Czy umarł kto téj nocy?

ELEW.

Nie, Panie doktorze.

DOKTOR.

Nikt! (*do siebie*) czemu mnie to dziwi? ...

(*Chodzi wzdłuż sali — potem jakby sam do siebie wracając, wraca do łóżka N. 6.*)

(*Do Elewa wskazując chorą*). Źle bardzo z tą kobietą.

ELEW.

Kona biedna już bardzo długo.

DOKTOR.

(*Z żywością, nie spuszczaając chorą z oka*). Mó-
wisz Pan, że kona od dawna?

ELEW.

Tak panie doktorze — według ostatniego pańskiego przepisu, postawiłem moxę o siódmiej w wieczór.

DOKTOR.

(*Z wzrokiem do chorą przykutym*). Dobrze, no — i cóż dalej? ... proszę mi wszystkie symptomata opowiedzieć — z godziny na godzinę, z chwili w chwilę ...

ELEW.

Jeżeli pan doktor chce czytać — raport jój aż do tej godziny już gotów — przyniosę.

DOKTOR.

To jeszcze lepiej — lecz wolę go przeczytać
u Ciebie.

ELEW.

Służę panu doktorowi. —

*(Wchodzi do gabinetu — doktor czyta z uwagą
podany papier — poczem wracają do sali i wyko-
nywają na chorąj długie i szczegółowy examini).*

DOKTOR.

(Półgłosem jakby do siebie). Życ nie może!

ELEW.

Tak mniemałbym Panie.

DOKTOR.

(Podobnie). Muszę być przytomnym jej śmierci.

ELEW.

Każę na czas Pana doktora uprzedzić.

DOKTOR.

Nie — bo muszę ją obserwować — ciągle
aż do chwili, gdzie ducha wyzionie.

ELEW.

To jeszcze długo potrwać może — a jeżeli
pan doktor ...

DOKTOR.

(*Przerrywając*). Wszystko jedno — poczekam.
(*Do stróża*). Daj mi stołek. (*Do Elewa*). Możesz
Pan iść raporta wykończyć.

(*Siada u nóg łóżka na podanym stolku*).

ELEW.

(*Odchodząc do stróża*). Nie zapomnieć zgasić
lampy — skoro tylko dzień się zrobi — jeden z was
niech tu ciągle będzie na usługi pana doktora.

DOKTOR.

(*Kładąc rękę na czoło*). Co za okrutne do-
świadczenie potrzebne (*z westchnieniem*)
konieczne.

(*Wzrok w chorągiew zatapia — i siedzi nieruchomy*).

ELEW.

(*W gabinecie*).

Doktor jakiś nieswój dzisiaj — ale jak też ten
człowiek swoją sztukę kocha — to aż patrzeć
miło.

(*Siada i pisze*).

Przedpokój doktora Karola.

JAKOB.

(Suknie chędoży na stole).

A toż mi to mróz dzisiaj! *(zacierając ręce)*. Pan Romuald mi powiedział: jedenaście nad zerem co ja pletę ... pod zerem — przecie to człek rozumie, kiedy u doktora służy od lat siedmiu *(chędożąc dalej)* i nadal służyć będzie — jeśli Bóg pozwoli ... i pan doktor — dobre panosko — nagły trochę, trochę bardzo nawet — rozgniewa się co moment — ale nie gdyra nigdy — nie marudzi. — — Gniewa się? .. no i cóż z tego? ... alboż to jego wina? ... takim go Bóg stworzył. — — Ależ dobry ... to serce dopiero! — gdym chorował, on koło mnie chodził — jak brat jaki ... to też go kocham za to ...

(Rzuca szczotkę i zaciera ręce).

Panie — to piękne zimno jedenaście stopni.

(Patrzy na płaszcz leżący na stole).

Wziąć go nie mógł — a gdzie tam — czyi
jemu kiedy ciepło albo zimno. —

(Chłop otwiera drzwi pomalu — i patrzy).

No to wchodźcież — ale przez Boga drzwi
zamykajcie *(do siebie)* musi mieć naturę doktora.

CHŁOP.

Niech będzie pochwalony!

JAKOB.

Na wieki wieków. Cóż to powiecie ojcze?

CHŁOP.

Czy tu mieszka doktor?

JAKOB.

Który?

CHŁOP.

Doktor Karol.

JAKOB.

Tu — cóż to od niego chcecie?

CHŁOP.

Mam list do niego.

JAKOB.

Pana nie ma w domu — ale list zawsze dać możecie (*biorąc list*) skądżeście to?

CHŁOP.

Z Pakowa.

JAKOB.

(*Patrząc na list*). Do kogoż to należy?

CHŁOP.

Ha do Pana.

JAKOB.

Toć przecie ja wiem — ale jak się nazywa?

CHŁOP.

Zowią go Pan z Pakowa.

JAKOB.

(*Do siebie*). Nigdy o téj wsi nie słyszałem — to nie musi być jeden z przyjaciół doktora — może jaki znajomy — może i to nie. (*Do chłopca*). Dobrze mój przyjacielu — list zostawcie, a przyjdźcie jutro po odpowiedź.

CHŁOP.

Jutro? jako, toby doktor nie jechał dzisiaj?

JAKOB.

A czy to do chorego?

CHŁOP.

Abo nie co innego — Pan słaby — Pani dając list mówiła, bym spieszył — że trza rażno.

JAKOB.

A dalekoż do Pakowa?

CHŁOP.

To pół mili od Gniezna.

JAKOB.

(*Do siebie*). Pod Gniezno — to mi spacer, — trzeba go odesłać, (*do chłopca*) kiedy tak, to słuchajcie. Weźcie list i idźcie, ztąd na lewo, o trzy kamienice na drugie piętro — tam mieszka doktor inny ... ale doktor. — Powiecie mu oddając list, że doktora Karola nie ma i jechać nie może — zobaczycie, ten zaraz pojedzie.

CHŁOP.

Na koniu?

JAKOB.

Czemu na koniu?

CHŁOP.

Bom przyprowadził ztąd o cztery mile konia
co tam czeka na doktora ... doskonała szkapa.

JAKOB.

Idźcie tylko — idźcie — skoro wam trza ra-
żno — mówię wam, że tamten pan zaraz pojedzie
(do siebie z uśmiechem) ale pocztą.

CHŁOP.

(Kłaniając się). Niech będzie pochwalony!

JAKOB.

Na wieki.

(Chłop odchodzi).

Pocziwina ... konia przyprowadził ... do-
skonale szkapę. — Tego też memu Panu trzeba
było — szesnaście mil konno po dwóch bezsen-
nych nocach.

(wyciąga rękę i ziewa).

Czuwamy nielada — trzeba przyznać — słu-
żba nocna przykra bardzo — ale za to cały
dzień nie ma nic do roboty, prócz o dwóch koniach

myśleć — on niczego nie potrzebuje — nie mam się czego skarżyć — trudno mniej, jak doktor wy-
magać.

(*Sklada płaszcz.*)

Onby był gotów pojechać ... i bez płaszcza do tego — dalipan, kto go nie zna, myślałby, że zdrowie, jak u konia — ja wiem, co się święci — pokaszluje i często. — Broń Boże, byś powiedział, bo się gniewa. — — Wszystko jedno ... kontent jestem, żem pocziwca odprawił z kwitkiem do tego — bez jego wiedzy; muszę go pilnować — jak się da.

(*Bryftregier wchodzi.*)

Dzień dobry panie bryftregier.

BRYFTREGIER.

Dzień dobry — oto gazety i listy.

JAKOB.

Dużo się należy!

BRYFTREGIER.

Talar i ośm srebrników.

JAKOB.

(*Rachując pieniądze*). Cóż tam słyhać na mieście?

BRYFTREGIER.

Panna Kassylida umarła téj nocy.

JAKOB.

Sławna nowina! (z dumą) przecie my to wie-
dzieć musimy najlepiej.

BRYFTREGIER.

Ani słowa. — Poczta warszawska nie przy-
szła.

JAKOB.

I cóż z tego?

BRYFTREGIER.

Ha nic.

JAKOB.

Prawda — przepraszam. Wszakżeście wy
z poczty — to was obchodzić musi — oto są
pieniądze.

BRYFTREGIER.

Dziękuję. — Do widzenia panie Jakóbie.

(Wychodzi)

JAKOB.

(Zbiera listy i dzienniki).

Jest i tak dosyć, choć z Warszawy nie ma, ale to jednak dziwno, że niema — bo w królestwie to tak przecie wszystko, jak mówią porządnie idzie, jak w zegarku — co go knut nakręca — *(śmieje się)*. — Gdyby mi też to wszystko czytać przyszło? ale bo pytam się, czemu doktor tak pracuje, skoro nie dba o pieniądze — bo że nie dba, toć pewno — ma — daje — znów nie ma — tylko się migają talary — na jego miejscu inaczejbym żyć umiał!...

(bierze listy i wchodzi do pokoju — słysząc pukanie do drzwi — wraca nazad).

Któż puka?

DZIEWCZYNA.

(Wchodząc). Herr doktor Karl?...

JAKOB.

Hier — *(do siebie)* przystojna Niemeczka.

DZIEWCZYNA.

Mein Herr...

JAKOB.

(Przerywając.) Mener nie umie deutsch —
polnisch sprechen.

DZIEWCZYNA.

Pan prosila Doktor Karl przyjść bo chora...

JAKOB.

(Idzie do tablicy wiszącej na ścianie.)

Pan chory?

DZIEWCZYNA.

Nein — Pan — Frau Rätbin ist krank.

JAKOB.

Mniejsza o to. — Jak się nazywa?

DZIEWCZYNA.

Von Wohlleben.

JAKOB.

(Pisząc na tablicy). Fonleben.

DZIEWCZYNA.

Ach ne... von Wohlleben.

JAKOB.

Tak też piszę — Fonleben — gdzie mieszka?...

DZIEWCZYNA.

Am Ring No. 15.

JAKOB.

(*Pisząc*). Rynek No. pięćdziesiąt — powiem,
jak doktor przyjdzie — bo go nie ma.

DZIEWCZYNA.

Bitte sehr. — Herr Rath wird erwarten.

(*Idzie ku drzwiom.*)

JAKOB.

Rad mu będzie — a wierzę (*do siebie*) to głupia, czy ja nie wiem, że jemu wszyscy radzi, — (*do dziewczyny, która wychodzi*) gut gut (*do lokaja w liberyi, który we drzwiach spotkał się z dziewczyną*). A Filipku, jak się masz? ...

FILIP.

(*Wskazując na drzwi*). He Panie Jakóbie!

JAKOB.

To Niemka. — Czy mego Pana szukasz?

FILIP.

Abom go nie zastał?

JAKOB.

Nie — i nie wiem, gdzie być może.

FILIP.

Wczora wieczór mówił, że przyjdzie dziś rano,
— dwunasta, niewiadać go! — a Pani Hrabina
czeka niecierpliwie ..

JAKOB.

Zapiszę, bym nie zapomniał, — i poszlę go
zaraz.

FILIP.

Tylko pewno, bobym znowu musiał biegać.

(*Wychodzi*).

JAKOB.

Nie bój się Filipku.

(*Idzie do tablicy i pisze*).

Fonleben — istny Niemiec — szczególny też
to ten doktor — bo że Niemców nie lubi, to nie
sekret — a jak który chory go zawezwie ... to
leci — to przecie tak kuruje, że wnet Niemiec na
nogach — dalipan, jakby Polak jaki. — Ale, ale
— gdzie może być doktor tyle czasu? gdyby Panna
Kassylida nie była umarła — rozumiałbym, że nie

wraca do domu — naturalnie przy niejby siedział — bo to wielki jój przyjaciel — szkoda, dobra to była pani.

(Kobieta wchodzi nieśmiało).

Nie bójcie się matko, (z dobrocią) nie wyście to byli dzisiaj rano?

KOBIETA.

Ja Panie.

JAKOB.

Doktor jeszcze nie wrócił — trzeba, jeśli go pewnie zastać chcecie, przyjść jutro znów o piątą rano — wszakżeście wy nie bardzo chorzy? .. co?

KOBIETA.

Ja? zdrowam dzięki Bogu — ale mój chory .. bardzo chory. — Ja za niego dziś przyszłam — on nie może — leży — prosić Pana Doktora, aby był taki łaskaw i pomógł mu trochę — uzdrowił ...

JAKOB.

Będzie taki łaskaw — ja ręczę za niego — powiedźcie mi tylko, czém wasz mąż się trudni i gdzie mieszkanie.

KOBIETA.

Mój mąż? szewc Panie — mieszkamy na Gwarzędzu — ostatni dom na prawo — daleko stąd i boję się ...

JAKOB.

Nie bójcie się matko — wy nie wiecie, jaki mój Pan dobry.

KOBIETA.

Któżby tego nie wiedział! ... Dziękuję, niech Panu Bóg płaci!

(*Wychodzi.*)

JAKOB.

Nie ma za co — (*Pisząc na tablicy.*) Tak — tak, bądź spokojna biedna kobieto — chociaż cię tu wielka pani poprzedza, doktor do ciebie pójdzie, — dziwny człowiek! — ubodzy to jego passya — on się do nich pali.

(*Słychać głos za drzwiami: Jakóbie!*)

To panna Helena woła.

(*Otwiera drzwi.*)

Niech Panniczka wejdzie — ja tu sam jestem — zawsze gotów na usługi.

HELENA.

Nic nie potrzebuję mój dobry Jakóbie — przysłałam cię tylko spytać, czy cię Pan nie uprzedził, że będzie na obiedzie?

JAKOB.

Nie wiem nic Panniczko — wrócił późno bardzo — usnął trochę. Potém widziałem, jak wychodził — jeszcze nie dniało. — Wołałem: Panie! Panie! wróci Pan na poradę?

HELENA.

Odpowiedział, że nie?...

JAKOB.

Przeszedł jak głuchoniemy.

HELENA.

(*Z niespokojnością*). I dotąd nie powrócił.

JAKOB:

Nie — chorzy czekali godzinę — potém się rozeszli.

HELENA.

Był może bardzo smutny — zamyślony?

JAKOB.

Daruj mi Panniczka, spałem — więc powie-
dzieć nie mogę. Ale myślę, że nie — on zawsze
trochę, z przeproszeniem, gburowaty — trochę
posepny.

HELENA.

A ta śmierć, co mu o niej donieśli?

JAKOB.

Panny Kassylidy? o zapewne go gryzie — musi
ją żałować — on ją tak kochał.

HELENA.

Ale mi zaręczyć możesz Jakóbie, że twój pan
nie chory?

JAKOB.

A z czego? ze śmierci? ... doktor? ... Pan-
niczko, alboż to on mało widzi w życiu umarłych?

HELENA.

Sądziś więc Jakóbie, że po prostu tak jest za-
trudniony, że na obiad nie przyjdzie?

JAKOB.

Z pewnością ja nie wiem — ale przecie już
nieraz doktor jeść nie miał czasu.

HELENA.

Prawda — ale jabym go tak dzisiaj widzieć
była chciała — *(po chwili milczenia)*. A ty prędko
zejdziesz Jakóbie?

JAKOB.

Ja — nie już nie mam do czynienia — ja
schodzę z Panniczką — obrok koniom zasypię
— to nie będzie długo — i zaraz przyjdę do
kuchni na obiad — na takim mrozie jeść się
chce djabelnie. —

(otwiera drzwi Helenie i wychodzi za nią.)

Pokój doktora Karola.

JAKOB

(stoi przed kominem i zapala lampę.)

Doktor cały dzień nie wrócił — Niemiec nie mógł się doczekać — tém lepiej — Dziewiąta godzina — o! musiał gdzie na wieś pojechać...

(słychać szelest w przedpokoju.)

Nie, nie pojechał — to on, poznaję po chodzie.

DOKTOR

(wszedłszy — po pokoju szybko w głębokiem zajęciu się przechadza.)

Zrób ognia Jakóbie. —

JAKOB.

Zaraz Panie — *(wkładając szkło na lampę.)*
Myślałem, że Pan na wieś gdzie pojechał.

DOKTOR

(chodząc). Czy mnie wołano?

JAKOB.

A jakże — Był naprzód chłop z Pakowa
z końmi wierzchowemi...

DOKTOR.

(chodząc) odesłałeś go?

JAKOB.

Odesłałem. —

DOKTOR.

Dobrześ zrobił. —

JAKOB.

(Stanwia lampę na stole do pisania.)

Idę po drzewo. —

DOKTOR.

Spiesz się.

(Jakób wychodzi — doktor chodząc ciągle.)

Dwadzieścia cztery godzin niebawem — ani
śladu życia — ani pewnej oznaki śmierci — naj-
mniejszego rozkładu — to nie do pojęcia! *(zwal-
niając kroki)* to rozum się miesza. —

JAKOB.

(*Wraca z drzewem i ze świecą — kłęka przed kominem i uklada połanka.*)

Był tu także lokaj Pani Hrabiny...

DOKTOR.

(*Chodząc prędzej.*) Dobrze — już wiem.

JAKOB.

Ale bo tu był w południe....

DOKTOR.

Wiem — ja byłem później. —

JAKOB.

Potém żona szewca....

DOKTOR.

Dobrze .. (*do siebie*) wróci jutro. —

JAKOB.

Ależ bo ta biedna kobieta...

DOKTOR.

(*Zatrzymując się nagle.*) Biedna?.. biedna mówisz?..

JAKOB.

Tak jest Panie — ta biedna kobieta była
dwa razy. — Mąż jej bardzo chory — prosi
Pana pięknie, byś go Pan wyleczył. —

DOKTOR.

(Do siebie z goryczą.) O tak wyleczył — *(do*
Jakóba.) Gdzie on mieszka — pójdę do niego.

JAKOB.

Zapisałem go sobie — daleko bardzo. —

DOKTOR.

Nie szkodzi — daj mi adres. —

JAKOB.

Czy zaraz Panie?

DOKTOR.

Zaraz. —

(Jakob wychodzi.)

Mógłbym zapomnieć — dziś łatwo. — Ta
kobieta żąda, bym jej męża uleczył — żałuję ją
(z pogębieniem.) Alboż ja cc umiem?.. alboż
ja co mogę?...

JAKOB.

(Wracając.) Na przedmieściu Gwarzędzu ostatni dom na prawo. —

(Kłeka przed kominem.)

DOKTOR

(zapisuje w pugilaresie i chowa.)

(Do siebie.) Zaniedbałem moje dzieci dzisiaj — moje biedne dzieci — to złe .. złe bardzo.

(idzie do komina zacierając ręce i staje za Jakóbem.)

JAKOB.

(Do siebie.) Zimno mu — to słaby — Panna Helena przecię miała rację. —

DOKTOR.

Co tam mruczysz o Pannie Helenie Jakóbie?

JAKOB.

(Do siebie na wpół się obracając.) Aj — był za mną i słyszał — gniewać się będzie. —

DOKTOR.

I cóż? odpowiedź — *(z przychylnością.)*
Może Panna Helena słaba?

JAKOB.

O nie Panie Doktorze (*na stronie.*) Co tu począć . . . (*głośno.*) Nie . . . Panna Helena zdrowa . . . bardzo zdrowa . . .

DOKTOR.

Tém lepiej (*na stronie.*) Strachu mnie naba-
wił — (*głośno*) więc o cóż idzie?

JAKOB.

(*Na stronie.*) Daj go katu! ani sposób — ot
na nią wszystko złożę (*wstając.*) Panna Helena przy-
szła się pytać, czy Pan nie chory — i jeszcze . . .
zaraz, nie chciałbym słów przekrzywiać — czyś Pan
nie smutny — stroskany. —

DOKTOR.

(*Stawa przed ogniem i opiera się o komin.*)
I cóżeś odpowiedział?

JAKOB.

Że Pan taki — jak zawsze. —

DOKTOR.

I dobrześ odpowiedział — (*smutnie,*) bo téż tak
jest Jakóbie. —

JAKOB

(przynosi gazety i listy.)

Przepraszam Pana — ale tak nie jest — tylko się Pan nie gniewaj *(śmiejąc się,)* na to niech Pan czasu nie ma. — Oto pańskie gazety i listy. —

(Kładzie na stoliku wskazanym przez doktora.)

Wszystko z Polski brakuje — bo poczta nie przyszła — *(patrząc na doktora, który nie słucha.)* Czy już mogę się oddalić?

(na skinienie doktora — odchodzi.)

DOKTOR

(po długiem zamyśleniu.)

Jakob dobrze mówi — nie jestem sobą samym — czuję to aż nadto. — Niszczę resztę sił w walce z małym światem — jakież to znój . . . cóż to za trud gestami ten świat zwodzić! . . . ten świat, nad którym się panuje i głową i sercem — tak, sercem.... kto serce widzi? . . . kto go sądzi? . . .

(Milczy chwilę.)

Pytała się, czym smutny — przeczuła — Helena, kochane dziecko . . . co się dzieć musi we mnie — A inni? . . . może zgadują — o nie *(z ironią,)* bo oni sądzą — inni — wyciągają wnioski! . . . Nie wiedzą . . . że przez każde z mych poruszeń wierzą — w to — co chcę, by uwierzyli . . .

W każdym spojrzeniu widzą — to, co chcę, by wi-
dzieli ... każde z mych słów tłómaczą — tak —
jak chcę, by tłómaczyli ... Nie wiedzą, że ja chcę,
— by oni nie wiedzieli! ... Biedni ludzie znacież
wy, co to serce? ... znacież wy siłę, jaką posiada,
gdy jest proste i czyste? ... macież wyobrażenie
o woli, którą daje temu — nad kim wyłącznie
panuje? (*zapalając się*). Wy patrzycie biedni ludzie
— a ona was zaślepia ... Sądzicie biedni ludzie
a ona was w obłąd wprawia ... Może wniosko-
wać chcecie ... ona na was woła: Mnie się pier-
wój nauczcie, zanim serce poznacie, co mną roz-
kazuje ... o nędzoto ludzka! ...

(*Po chwili milczenia.*)

Lecz to drogo kosztuje ta ze światem zabawka,
bo on uważa i ciągle i pilnie (*ściskając ręką czoło*).
Byłoby to okropnie ... gdyby mówić zaczęto teraz
— po śmierci — świat głupi ... ale świat zły —
Ciagnijmy dalej walkę — choćby serce pęknąć
miało ... niechaj pęka w skrytości! ... tak trzeba.

(*Spuszcza głowę na piersi i mówi pomalu*).

Skoro żywą oszczędził najlżejszy nawet cień po-
twarzy ... umarłą niech szanuje ... dziś ... to
moja powinność! ...

(Po długim zamyśleniu.)

Umarła i ta biedna kobieta w szpitalu — byłem przytomny, jak oddała ducha — badałem ją aż do ostatniej chwili — tropiłem każdą stawkę tej gry strasznej muszkułów i nerwów — widziałem jak się ściągały ... zwijały ... rozprężały w miarę, jak passowanie z śmiercią przybierało potęgę! ani jeden prąd arteryi ani jedno bicie pulsu drgnienie serca mi nie uszło — trzymałem tę kobietę przykutą pod mém śledczém okiem i każdy punkt jęj ciała całkowitem przebijalem wejrzeniem. Cała ma dusza wglaďala przez pryzmat nauki — cóż nie przewidywałem? ... wyrachowałem grymasy ... zgrzytania ... wiedziałem, kiedy westchnie ... pod epidermą byłem! Śledząc ostatnie tchnienie czułem, gdy uchodziło czułem — tu granica *(z niecheeniem)* dziś nie mógłem pochwycić! Skonała! ... ale jakżem się jęj skonu wyuczył — świat powinien być kontent — byłem dosyć zimny — tak jak wymaga sztuka — jak lekarz być winien — bez znaku serca — tak chciałem!

(Po chwili milczenia.)

Lecz cóż czynię? ... myśli puszczam samopas. Wszak porównać chciałem tę śmierć z śmiercią Ka-

syldy, której najdrobniejsze szczegóły kolega mi powiedział. — Do pracy więc, tylko spokojnie — spokojnie.

(Siada przy stoliku i różne przerzuca książki — czyta w jednej i drugiej z uwagą — na koniec zamyka je i opiera się całkiem na plecach krzesła.)

Rzecz osobliwsza! — ci dwaj autorowie przeciwnego zdania zarówno mnie prowadzą do myśli — która głowę moję, jak strzała przeszła w chwili — gdy się już o śmierci Kasyldy dowiedział: — do myśli, której rozum mi wzbrania, a którą dusza radzi — do myśli, którą usta moje ani razu wyrzeknąć nie śmiały, a którą serce tysiąc już powtórzyło razy ... Nie! ona nie umarła! ...

(Wstaje — pokój w około pare razy obchodzi.)

Symptomata jednak śmierci są oczywiście — wiem ... widzę je, dotykam — a pomimo tych dowodów idea ta mnie dręczy ... gniecie ... jak sen szczęścia, w rzeczywistém, okropném nieszczęściu! *(namiętnie)*. Miałażby to być szalona myśl miłości w zapasach z poważném sztuki przekonaniem? Jeżeli tak jest — ulegnie niezwłocznie ...

(Siada i chwyta książkę.)

Jestemli w mym normalnym stanie? — jestem — więc dociekajmy jeszcze.

(Czyta — po chwili odrzuca książkę.)

Nie! — ta myśl nie jest szaleństwem — nadto mnie owładnęła! Wszak mi towarzyszy już przez całą dobę — nie opuszcza na krok ani chwilę — ciągle ję tylko słucham . . . ciągle staram się sztukę dać ję za podporę — ile razy przyszedłem do Kassylidy, ta myśl przez moje przemawiała usta — w nią dawałem rozkazy . . . by nie otwierać okien i pokój ogrzewać . . . *(z decyzją)* za nią pójść do końca! . . .

(Wstaje.)

Życie nie porzuca bez zmiany wyrazu na twarzy — bez zwichnienia ję rysów . . . bez przeciągnięcia choć lekkiej powłoki — trzeba więc zgłębić.. przeniknąć . . . odkryć ten wyraz . . . te rysy . . . dotknąć to śmierci piętno! . . . trzeba dociec, to znaczy ta stagnacya . . . to wstrzymanie się toku odwiecznego zniszczenia . . . psucia! . . . Bo tak jest — widziałem . . .

(chodzi po pokoju.)

Czym tylko dobrze widział? . . . przeświadczyć by się trzeba . . . długo . . . doskonale . . . Na to muszę być samym . . . Trzy razy byłem, zawsze jest otoczona. — Każe odejść kobietom . . . wszystkim.

(zatrzymuje się).

Maja odejść — precz — na długo — może na noc całą ... Ale jakżeż to zrobić? ... Cóż mi się dzieje? ... Mnie taka rzecz wstrzymuje? ... mnie? ... lekarza? ... Idźmy...

(Bierze za kapelusz — nagle ręką zakrywa oczy i pała na krzesło.)

Oh! a nuż tamci przyjdą, by robić dyssekcję!.. ludzkość im daje prawo ... brat jój nie przyjechał .. nikt im nie zabroni!...

(Mileczenie).

Jakże tu zimno.

(Idzie do komina),.

Więc dobrze, niech i tak będzie ... jeżeli się myślę — niech zwycięży sztuka — niechaj robią autopsyę ... (z westchnieniem). Nie! ... to niepodobna ... Czemu? ... jeżeli moja myśl mnie zwodzi (drżąc) wtedy ... ja ... ja sam to wykonam ... (z goryczą) wszak mam prawo, jak tamci, więcej może jeszcze! ...

(Wraca do stolika — dobywa z szuflady szkatułkę — otwiera ją i ogląda instrumenta do dyssekcji służące.)

Wolo! ... bądź mocną ... utrzymaj się ... nie! ty mnie nie zdradzisz.

(Bierze płaszcz — kładzie kapelusz).

Sam będę *(biorąc szkatulkę)* bo te noże przestraszą kobiety — uciekną . . .

(Chowa pod płaszcz szkatulkę i wychodzi pewnym krokiem)

KONIEC PIERWSZEJ DOBY.

(Black paper - black paper)

Some paper (black paper) do not have

black paper - black paper

Black paper (black paper) do not have

Black paper (black paper)

DOBA DRUGA.



DOBA DRUGA.

Sypialnia Kassylidy — łóżko na pokój wysunięte -- na niem Kassylida spoczywa z złożonemi rękami jak miewają umarli — w rękach krucyfix — cztery wielkie świece palą się w czterech rogach łóżka — obok łóżka stolik, który trzy kobiety ubierają w obrazki świętych -- kilka obrazków leży na łóżku.

DOKTOR.

(Karol w płaszczu — kapelusz na głowie — wchodzi przez drzwi od przedpokoju.)

Co tu światła! ... aha, to światło śmierci -- śmierć zawsze oświeca ...

(Składa płaszcz na stolku — na nim kapelusz i szkatułkę — przybliża się do łóżka i patrzy na obrazki.)

JEDNA Z KOBIET.

(Do drugiej cicho). Doktor nie mówił, że jeszcze raz wróci? ...



DOKTOR.

(*Do siebie.*) Rozumiem — to śmierć — śmierć ciągle — a ja — ja jój nie chcę! (*do kobiet wskazując obrazki.*) Cóż to jest?

JEDNA Z KOBIET.

Ołtarzyk układamy Panie — będziemy się modlić czuwając przy ciele.

DOKTOR.

Idźcie się modlić do siebie — mówiłem, żeby jój dać pokój — zdjąć to wszystko! (*do siebie odzrucając z łóżka obrazki.*) Ten obrządek katolicki ma coś okrutnego — (*do kobiet*) zabierzcie ... zabierzcie to wszystko.

JEDNA Z KOBIET.

Czy Pan doktor będzie nas potrzebował?

DOKTOR.

(*Idzie po szkatułkę.*)

Nie.

DRUGA KOBIETA.

Kiedyż mamy powrócić?



DOKTOR.

Zostanę noc całą.

(Otwiera szkatułkę — kilka nożów wypada)

WSZYSTKIE KOBIETY.

O Jezus miłosierny!

DOKTOR

(Zimno zbierając noże). Chyba, że widzieć chcecie?

(Kobiety odchodzą, płacząc).

Odeszły! ...

(Układa instrumenta na stole).

Teraz od najścia zabezpieczyć się trzeba.

(Oboje drzwi na klucz zamyka i wraca do łóżka).

Ach jestem nakoniec, jak chciałem — sam — z nią! ... Umarła, czy żywa, pożegnanie mi winnaś Kassylido! ... ciężko zasługuję na nie.

(Wpatruje się).

Kontent jestem z siebie — nie nie widzę jak ... — nie trupa — lecz ciało.

(Wyjmuje z rąk krucyfiks).

Śmierć pod ręką — lecz nie w oku, nie w myśli — szukajmy znaku dla pierwszego — dla drugiej przekonania.

(Siada na stolku w nogach łóżka — zakłada ręce — zatapia wzrok w rysach Kassylidy — i zostaje długo nieruchomy.)

Teraz jak pierwój ... jak zawsze — nie — nie widzę nie — nie widzę śmierci — przerwijmy.

(Wstaje i chodzi po pokoju).

Nie widzę nie ... ale czy ja chcę widzieć? ... czy chcę dostrzedz śmierci? ... czy ja śmierci mam upatrzeć wolę? ... Dobrze, więc skoro tego koniecznie potrzeba ... (z przyciskiem) Chcę!

(Zatrzymuje się).

O moja wolo daj mi przekonanie na sztuce oparte! ... Wolo moja! wszakże dziecku jeszcze pokazywałaś mi okropne wśród nędzy pożywie ... parlaś mnie ku niej mówiąc, że aby ją zwyciężyć wręcz do niej iść trzeba — czyliż wtedy opierałem się tobie? ... Gdy później stawiałaś mi obraz wszystkich cierpień, trudności i zgryzot w celu dojścia do sztuki — czyliż nie usłuchałem ciebie? ...

Czy był opór, którego bym nie zniósł w imię twoje?..
(z czułością) Jeżeli od lat pięciu nie zdołałem przy-
tłumić uczucia ... nie skępowałem go ... nie ści-
snąłem go, nie wtłoczyłem go w serce, tak mo-
cno, tak głęboko — że choć miłość była — żyć mu-
siała bez żądy, — bez nadziei ... Jakże była ukry-
ta! ... Jeżeli więc tak stoi w przeznaczenia księdze,
że dziś skończyć się musi ... Wolo moja! o daj siłę
— bym się o tém w téj dowiedział chwili ... niech
śmierć zobaczę — koniec! ... A choćby na ten wi-
dok ... choćby to przekonanie ostatecznym życia me-
go było kresem ...

(Zatrzymuje się chwilę).

Wolo moja — błogosławić cię będę! ...

(Chodzi po pokoju w milczeniu).

Niepewność ta nad siły — to piekło! ... więc
po raz ostatni ... ostatni ... patrzmy!

*(Szybko zbliża się do łóżka — trąca o stół —
nóż spada z metalicznym brzękiem — cofa się
przerażony.)*

Ach! ... jakże dźwięk ten przeszedł mi po ży-
łach — jakież przeszywające echo jego w sercu!..
(z ironią). I jaż to mam śmierć widzieć? ... ja ...
taki wątły ... słaby? ...

(Milczy chwilę).

Cofnąłbym się? ... i czemu? ... Jeśli ona nie żyje, dbamże o resztę świata ... o kogo?

(Chce siadać).

Nie — trzeba wprzód przyjść do siebie.

(Podnosi i układa noże — potem siada).

Teraz — tak, teraz — zda mi się — jestem pewny ... będę szczerym z sobą.

(Po chwili bierze krucyfik i wciska go w ręce Kassylidy.)

Zimne, jak lód — ale nie dość stęzałe — —
wszystko jedno ... wróćmy jęj tego Chrystusa,
którego tak kochała — to godło śmierci tutaj —
wszak ja za śmiercią gonię — wszak ja śmierć
chcę zobaczyć ... dotknąć ...

(Zostaje w niemęj i spokojnej kontemplacji — po niej jakim przeciągu czasu powieki Kassylidy wolno, z trudnością się podnoszą i opadają natchniami. — Doktor zrywa się).

Przebóg ... com ja widział? ...

(Zakrywa oczy rękoma — potem je pomalu rozsuna — patrzy).

Nic? ... nic? ... jakto? ... ja życie widziałem ... a to nic nie było? ... nic?

(W twarz Kassylidy patrzy dzikim wzrokiem.)

Byłóżto spojrzenie anielskie lub czarta pomrugi? Czy ja widzę? czy jestem na jawie — lub może padłem pastwą przywidzenia hallucynacyi, jaką chyba piekło zsyła, gdy nadzieję przedrzeźnia ... naigrawa się ze sztuki? ...

*(Stoi chwilę nieruchomy — oczy w suffit wlepione — poczem chwyta prawą ręką za lewą i ra-
chuje uderzenia pulsu.)*

Nie — to ani jedno, ani drugie (zimno) to ja mam gorączkę ...

(Idzie do okna — otwiera — oddycha głęboko, odgarnia włosy z czoła.)

Jakże mnie głowa pali, *(patrząc w niebo)* błękitne gwiazdziste księżyc świeci jaki spokój w naturze — jakże niewzruszone prawa, któremi postępuje! ludzkość tylko wpleciona w koło odwiecznego ruchu, szamocze się i męczy — bo każdy szczebel — to inne cierpienie.

(Słychać zegar miastowy.)

Dwónasta — wczoraj o téj godzinie znać mi dano — wczoraj o tym czasie pierwszy raz wy-
rzekłem — umarła! ...

(Po chwili jakby przebudzony.)

Właśnie dwadzieścia cztery godzin *(zamykając okno)* posłużyło mi zimno.

(Idzie do łóżka i stawa z założonemi rękoma.)

To nie nie było — przywidzenie *(z wzgardą)* jakież człowiek słaby na przeciw mocy żądy.

(Po chwili podnosi się pierś Kassyldy ledwo dostrzegalnym ruchem — doktor nieruchomy.)

Tylko czy ja spokojny? ... tak — spokojnym — znów mi się zdawało ...

(Ruch się powtarza — nachyla się.)

Tak jest ... nie myślę się ... widzę ...

(Ruch przestaje.)

(Przytłumionym głosem.) Tak, niezawodnie.

(Podnosi się.)

(Z krzykiem.) O szczęście — to letarg! ..

(Biegnie do drzwi — znika i wraca.)

Nieszczęsny! głowę tracę *(wyjmując klucz z zamku)* cóżbym był zrobił ... gdyby tamci tymczasem nadeszli. *(ze zgrozą)* Okropność!

(Wychodzi do sieni — słysząc jak drzwi na klucz zamyka — łoskot po schodach — głos woła: Karolu! Karolu! — doktorze! zmiłuj się ... słuchaj! osoby do drzwi się zbliżają — rozmawiają pod drzwiami.)

GŁOS MĘZKI.

Gdzież może tak biedz doktor bez kapelusza?

GŁOS KOBIECY.

Alboż ja wiem Panie.

GŁOS MĘZKI.

Popchnął mnie jak waryat.

GŁOS KOBIECY.

Doktor jest przy ciele od godziny — przyszedł z instrumentami — nożami — oh! to człowiek bez serca.

GŁOS MĘZKI.

Z nożami! ... on ... to być nie może.

GŁOS KOBIECY.

Na własne widziałam oczy, jak je przygotowywał.

GŁOS MĘZKI.

Nie uwierzę — aż zobaczę.

(Dobrywa się do drzwi).

GŁOS KOBIECY.

On taki Panie nielitościwy.

GŁOS MĘZKI.

Moja siostra! moja biedna siostra! ... oh to okropnie — drzwi zamknięte — trzeba czekać, aż wróci.

GŁOS KOBIECY.

Zamknął ją okrutnik — słyszałam, jak zamykał także drzwi od przedpokoju — niedostanie się Pan ...

(Głosy się oddalają rozmawiając — słychać chałas innych drzwi otwierających się i zamykających — poczem cichość zupełna.)

Po chwili wchodzi doktor pomału z flaszczką w rękę — rzuca okiem niespokojnym na łóżko — zamyka drzwi na klucz z ostrożnością — przybliża się do łóżka — stawia flaszeczkę, wyjmując krucyfiks z rąk Kassylidy — trzymając go sam nachylony, przygląda się pilnie.)

Rozpatrujemy się naprzód — za zimne mam ręce — nie — nie — jeszcze nie — przecie — ach! tak — to wszystko — jeszcze trzeba wiedzieć, by zobaczyć — poruszenie takie słabe — a jednak to życie (z radością). Życie! ... natura zwyciężyła — zachowała technienie — pomóżmy

jěj cokolwiek — dodajmy sztukę do zwycięztwa
— mogłoby się zatrzymać.

*(Rzuca krucyfik — porywa flaszeczkę — otwiera
i przyklada do ust Kassylidy.)*

Zęby zaciśnięte! ...

(Próbuje otworzyć).

Napróżno.

(Stawia flaszeczkę — próbuje oburącz).

Ani sposób — jakiż to spazm mocny! co tu
robić? ... jakto? ... i ja się wacham ... ja? ...
kiedy jěj życie i moja powinność razem ...

*(Porywa nóż — gwałtem rozтворя szczękę —
wlewa rachując kilka kropel z flaszczki — potem
cisną nóż).*

Jakież to żelazo zimne! ... *(z namysłem)* więc
moja ręka nie zimna.

(Bierze Kassylę za rękę).

Jeszcze skośniała — lecz wkrótce — niedługo.

(Siada i czeka — słysząc lekkie westchnienie).

Żyje! oh żyje — bo się skarży — kilka kro-
pel jeszcze. —

(Zadaje kilka kropel).

(Z pychy). Wspaniały skutek ... jak ciepła
przybywa — ręka już mięknie.

(Kłeka przy łóżku, trzymając Kassylde za rękę.)

Ot — puls już bić zaczyna.

(Słychać bicie zegaru).

O jakże to czas długi w oczekiwaniu szczęścia
(cicho w najwyższym uniesieniu). Ach ... Ach ...

KASSYLDA.

(Otwiera wolno oczy, które chwilę bez wejrzenia
zostają — doktor patrzy zachwycony — Kassylde
osłabionym głosem.)

Gdzież jestem? ...

DOKTOR.

(Na kolanach — trzymając rękę, po cichu).

W Niebie!

KASSYLDA.

(Zatacza wzrokiem — zatrzymuje go chwilę na
Karolu i mówi pomalu.)

W niebie? o nie — bo — nie on — ale
ty jesteś przy mnie ...

DOKTOR.

(Nieporuszony jak statua, ciągnie żarzącym wzro-
kiem za wzrokiem Kassylidy, której powieki się
zamykają — oddech zaczyna być regularny i po
chwilu w sen spokojny przechodzi.)

Śpi ...

(Chwila milczenia).

Tak — śpi ...

(Znowu chwila milczenia).

(Ciężkim głosem). Bo nie on — ale ty ...

(Nowa pauza.)

To jój pożegnanie ...

(Ciągłe w tej samej nieruchomości — łza mu w oczach staje — świeci, błyszczy coraz więcej — wypełnia żrenicę — toczy się po licu i pada na rękę Kassylidy — którą w swojej trzyma).

Płaczę ... tak — płaczę! oh przyjmij
przyjm tę łzę Kassylido! ... to łza także pożegna-
nia ... pożegnania kochanka ...

(Nachyla się i całuje rękę Kassylidy).

Kochanka — który przepadł! (z przymusem)
człowiek sztuki powstaje.

(Podnosi się i stoi chwilę patrząc spokojnie).

Czyńmy naszą powinność.

(Bierze flaszkę i jeszcze parę wlewa kropel w pół otwarte usta Kassylidy — gasi trzy świece — czwartą stawia za łóżkiem — pokój się ściemnia — chwilę jeszcze stoi nad łóżkiem).

Wszystko idzie jak najlepiej.

(Chowa flaszeczkę do kieszeni i po cichu udaje się do okna, o które się opiera).

Więc to był sen — nie! ona nie umarła!

(Po chwili słyhać szelest w przedpokoju).

Ktoś przychodzi — brat zapewne — prawda, na schodach go spotkałem ... muszę całą mą zimną krew zachować z *(goryczką)* aby się nie spostrzegł, że tu zawsze jeden trup jest jeszcze.

(Idzie do drzwi przedpokoju — które ktoś otworzyć próbuje — obraca pomału kluczem.)

EUSTACHY.

(Staje w progu.)

(Z akcentem wyrzutu). Więc to prawda? ...

DOKTOR.

(Przerywając). Cicho! *(prowadząc go do okna).* Mówmy cicho Eustachy — tak jest prawda ... to był letarg tylko.

EUSTACHY.

(Z krzykiem radości). Boże ... co ja słyszę!

KOTORA.

Cicho! ... śpi ... trzeba snu jój strzedz pilnie — nic jój tyle sił powiększyć nie może.

EUSTACHY.

Więc kiedyś mnie na schodach o mało nie wyrócił . . .

DOKTOR.

Biegłem po lekarstwo — nie miałem czasu ani uważać, ani stanąć.

EUSTACHY.

(*Do siebie*). A ja go oskarżałem (*do doktora*) Karolu! jakże ci podziękować! . . .

DOKTOR.

Dziękuj naturze — to jej sprawa mój przyjacielu — ja tylko powinność wypełniłem.

EUSTACHY.

(*Z czułością*). Masz racją Karolu! powinność tak słodką . . . oh jakież szczęście twoje! . . .

DOKTOR.

(*Zachmurzając czoło*). Wielkie zapewne — ratowałem przyjaciółkę — oddaję ci siostrę — tak — jestem bardzo szczęśliwy.

(Idzie do stolika i chowa noże do szkatulki.)

EUSTACHY.

(Patrząc na niego). Co? noże? więc ta kobieta prawdę mówiła ... o zgrozo! ... jakżeby on był mógł? ... a jednak po to przyszedł, jak się zdaje ... Ach okropniem się zawiódł ... ależ bo jaki on zimny.

DOKTOR.

(Bierze szkatulkę pod pachę i wraca do okna).

Zostawiam cię przy siostrze Eustachy.

EUSTACHY.

(Z zadziwieniem). Odchodzisz — porzucasz ją teraz? ...

DOKTOR.

(Z prostotą). Mam ubogiego bardzo niebezpiecznie chorym. Na teraz ona nic prócz spokojności nie potrzebuje. Jeśli się przebudzi — tylko spokój — wciąż spokój — żadnych wzruszeń — jak najmniej być może emocyi. — Jeśli zażąda czego — możesz jej dać łyżkę ... dwie, bulionu. Tylko powtarzam, wypoczynku i cichości — mil-

czenie jak największe. — Bądź zdrów Eustachy ...
wróć w poranku.

*(Kładzie płaszcz — kapelusz — zatrzymuje się
jeszcze moment i patrzy na łóżko — potem wy-
chodzi).*

EUSTACHY.

(Patrzę za nim). Prawdziwy człowiek sztuki!
ale Kassylida żyje ... kochana siostra żyje ...
O dzięki ci Panie! ...

(Siada przy łóżku).

Mieszkanie biednego rzemieślnika — w głębi izby przy cyganie leży człowiek na mizerném łóżku. W kącie dwoje dzieci śpi na gołym tapczanie — wzdłuż ściany szafa drewniana na naczynia — ława — przed nią stolik — dalej warsztacik, na którym skóry i kilka par starych butów leży w nieporządku — na cyganie stoi szklanka napełniona pół wodą, pół olejem — po którym pływa knot zapalony i migocąc płomykiem, niepewnie rzuca na izbę światło.

DOKTOR.

(Karol u drzwi słucha opowiadania kobiety — potem płaszcz rzuca na stół.)

No teraz już wiem dosyć.

(Przybliża się do leżącego człowieka, zacierając ręce).

Dajcie tu bliżej światło.

KOBIETA.

(Przynosi szklankę za lampę służącą).

Świecy nie mamy — racz Pan doktor dawać.

DOKTOR.

(*Na stronie*). Biedni ludzie! ... (*examinując chorego*) Nie mówi? ...

KOBIETA.

Nie — ani słowa.

DOKTOR.

Dawno? ...

KOBIETA.

Od wieczora — onegdaj nieborak pamięć stracił.

DOKTOR.

(*Z wyrzutem*). Czemużście pierwój do mnie nie przyszli?

KOBIETA.

Byłamci wczoraj z rana o piątój godzinie.

DOKTOR.

(*Przerywając*). Ale mnie nie było!

(*Obraca się nagle i bierze ją za rękę*).

Moja wina — prawda, źle zrobiłem (*z serdecznością*) darujcie mi — wybaczcie (*gorzko*) nie mógłem.

KOBIETA.

(*Chce go w rękę całować.*)

Ja zaś Panu darować — wszak ci to łaska
Panie — nie powinnoś...

DOKTOR.

Najświętsza owszém — jedyna — (*do siebie*)
gdzie cierpienie ludzkości — gdybym był wczoraj
przyszędł... zapalenie nie byłoby do tego doszło
stopnia — (*głośno*) trzeba natychmiast posłać po
chirurga.

KOBIETA.

Polecę zaraz po niego...

DOKTOR.

Wy? ... onby tu sam pozostał? ... nie to ja
polecę — (*na stronie*) najmniej co zrobić mogę...
(*głośno*) przyszlę go tu natychmiast... Dajcie mi
teraz papieru i pióra...

KOBIETA.

(*Z ambarasem.*) Nie mam, panie doktorze prze-
praszam.

DOKTOR.

Nie nie szkodzi — poradzimy na to.

*(Wyrzywa ćwiartkę ze swego pularesu — i pisze
ołówkiem — kobieta mu przyświeca.)*

Będzie to mixtura — słuchajcie — dacie
zażyć mężowi połowę od razu — w godzinę re-
szte — potem zobaczymy *(dodając słów kilka na re-
cypcie)* pójdziecie wtedy, gdy tu będzie cyrulik, do
apteki pod Lwem.

KOBIETA.

To tam, gdzie dobrodziej mieszka.

DOKTOR.

Tam.

KOBIETA.

Lekarstwo będzie drogie?...

DOKTOR.

Nie — prawie nic kosztować nie będzie.

KOBIETA.

Mam dawną flaszeczkę — wezmę z sobą —
zawsze o tyle taniiej.

DOKTOR.

W wielkiej więc jesteście biedzie?

KOBIETA.

Kiedy mój ma robotę — to życie idzie jako tako panie — ale od niejakiego czasu i roboty nie było — i choroba złożyła.

DOKTOR.

Jak wyzdrowieje, bądźcie pewni, roboty mu nie braknie.

KOBIETA.

(Z radością). Więc mój człek żyć będzie! o ja tego pewna byłam, skoro dobrodziej wstąpił w nasze progi.

DOKTOR.

Mam nadzieję — natura silna — rozpaczć nigdy nie potrzeba — cyrulik jak przyjdzie już będzie wiedział, co ma czynić.

(Wdzwiera płaszcz.)

KOBIETA.

(Z nieśmiałością). Panie doktorze

DOKTOR.

No — i czegoż chcecie?

KOBIETA.

Ale bo to — widzi pan doktor — bo to z dobrodziejem inaczej — zna go się — wie się, że dobry — że miłosierny.

DOKTOR.

(Przerywając.) No — no — skończyć proszę — nie mam czasu.

KOBIETA.

Że od biednych nie nie przyjmuje ludzi — ale ten, co przyjdzie — ten Pan.

DOKTOR.

Nie bójcie się — i ten od was nie nie przyjmie — ja wrócę, nim do szpitala pójde — skoro mąż będzie trochę lepiej — tam go wezmę — bym go miał pod ręką.

KOBIETA.

(Chce ująć doktora za kolana — doktor się broni.)

Panie ty jesteś aniołem!

DOKTOR.

(*Surowo.*) Jestem człowiekiem (do siebie)
i człowiekiem, który zawinił . . . (*odchodząc*) do
zobaczenia.

KOBIETA.

Niech Bóg błogosławi! . . .

(*Doktor wychodzi.*)

Pokój doktora Karola — lampa się świeci na stoliku do pisania — doktor wchodzi, za nim Jakób.

DOKTOR.

(Do siebie chowając szkatulkę). Pośleć chirurga — wszystkich użyję środków ... bo choroba tego biednego szewca całém brzemieniem wyrzutu sumienia mnie przygniotła.

(Siada kaszląc).

Słowa jego żony były dla mnie balsamem — miałooby jeszcze nie być wyschniętem to źródło słodyczy? ...

(Kasze mocniej).

JAKOB.

(Do siebie). Otóż znówu ten przeklęty kaszel! jakże ma być inaczej — lata z odkrytą głową po takim mrozie ... jakby się chciał zabić!... *(głośno)* Daruj Pan, ale bom ciekawy ...

DOKTOR.

Czego ? ...

JAKOB.

Bo proszę pana — gdy w nocy usłyszałem dzwonek ... wstałem, sądząc, że pana wołają ... zbiegłem — widząc światło w Aptece ... wszedłem — Pan Romuald mi powiada — że Pan był po lekarstwo ... że dla Panny Kassylidy — w nos mu się rozsmiałem ... daruj Pan mówiąc: śni się panu, lekarstwo umarłemu to kadzidło! ... Ale on utrzymywał, że tak jest w samej rzeczy.

DOKTOR.

Miał rację — tak było w istocie — bo panna Kassylida nie umarła — żyje.

JAKOB.

A toż mi kuracya dopiero ... to to pan mój kochany szczęśliwym być musi.

DOKTOR.

(Przerywając). Która godzina Jakóbie.

JAKOB.

(Patrząc na zegar). Po piątą.

DOKTOR.

Idź teraz i daj mi znać — gdy kto przyjdzie.

JAKOB.

Czy mam dolać oleju do lampy?

DOKTOR.

Weź ją z sobą — przyniesiesz dopiero, jak wrócisz.

JAKOB.

(Zabiera lampę i mówi odchodząc).

A to mi sztuka umarłego uzdrowić.

DOKTOR.

(Sam). Tak umarłego uzdrowić — a nie być w stanie powiedzieć sobie: życie to rezygnacya! — oh ten cios jest straszny — okropny — boję się, by nie był nad siły... Dobrze mi w tej ciemności... bo też ciemno w mej duszy — głucho w sercu.

(Siedzi pochylony w głębokiem marzeniu).

JAKOB.

(Wchodzi z lampą).

Panie! — otoż jeden pacyent przyszedł w tej chwili.

DOKTOR.

(*Jakby przebudzony ze snu*).

Już! . . . , (*Poprawiając się*). To dobrze
wprowadź.

(*Kaszele*).

JAKOB.

(*Odchodząc*). Boże, jak on kaszle.

DOKTOR.

(*Z ciężkiem westchnieniem*). Dalej Karolu! . . .
dalej . . . nowy dzień się otwiera . . . rozpoczynaj
życie! . . . (*Do pacyenta, który wchodzi*). Proszę
— bardzo proszę.

Pracownia przy aptece właściciela domu, gdzie doktor Karol mieszka — dwoje drzwi, jedno szklanne do apteki, drugie na prawo do jadalnej stancyi — meble porządne, prawie wikwintne — przy oknie Helena haftuje na tamborku. — Ojciec jęj stoi przy pulpicie — przed nim księga rachunkowa.

ROMUALD.

Dwa a cztery — sześć a ośm...

(Słychać dzwonek w aptece).

Helenko! pójdz zobacz — subjekt wyszedł.

HELENA.

(Wstaje — idzie ku drzwiom szklanym — przy nich spotyka się z doktorem).

To ty panie Karolu!

DOKTOR.

Ja Heleno.

(Bierze ją za rękę — patrzy chwilę z rozrewnieniem — potem jakby do siebie mówi.).

(Półgłosem). Biedne dziecię! ... i ciebie to chciano do mnie przykuć — do trupa.

HELENA.

(*Z przestraczem*). Doktorze! ... co ty mówisz? ...

DOKTOR.

Ot — nic wcale — nic.

HELENA.

(*Drżąc*). O trupie.

DOKTOR.

Tak — prawda — marzyłem — (*z dobrocią*)
daruj mi Heleno — czy nie wiesz, że ja doktor?
(*z uśmiechem*) nas śmierć straszyć nie może —
daruj mi. (*Idąc ku Romualdowi*). Dzień dobry
Romualdzie!

HELENA.

(*Wracając do okna*). Cóż chciał przez to powiedzieć?

ROMUALD.

Sługa twój doktorze — przepraszam, zaraz
skończę kolumnę — otoż jestem.

DOKTOR.

Cokolwiek raptusowo zbudziłem cię tej nocy,
nieprawda?

ROMUALD.

A spodziewam się ... w takim razie.

DOKTOR.

(*Siadając na kanapie*). Tak ... był to letarg.

HELENA.

(*Haftując*). Opowiedz nam to doktorze kochany.

ROMUALD.

Dobrze mówi Helena — prosimy cię — całe miasto o tém gada i wszyscy się dziwią ...

DOKTOR.

Zapewne przypadek rzadki — chociaż bardzo prosty. (*Z przymusem*). Przyszedłem był w nocy zrobić autopsją ciała ...

HELENA.

(*Przerywając*). Jak to? sam ją chciałeś roli? ... ty doktorze?...

(*Zasłaniając sobie oczy*).

DOKTOR.

(*Z prostotą*). Czemu nie? to powinność lekarza — (*Odpowiadając na wejrzenie pytające Heleny*).

Byłem jój przyjacielem — zaiste kosztowało mnie to — (z przymusem) bardzo nawet — wyznaje. Ale sztuka przedewszystkiém — ma ona swoje wymagania ... ma swe poświęcenia ... ofiary! Ostatnie chwile panny Kassylidy uderzyły mnie niespodziewanością — powinienem był przeniknąć ten fenomen medyczny — i w tym celu poszedłem.

(Kasze.)

ROMUALD.

Wiedziałem o tém od jednego z lekarzy przytomnych skonu panny Kassylidy. Spotkałem go dzisiaj. Mówił mi, że był téj nocy dla téj samej przyczyny, lecz już nie zastał ciebie. Brat panny Kassylidy Eustachy opowiadał mu swe szczęście — i twoje. Dodał, żeś miał w nocy z sobą skalpele noże zgolił instrumenta do dyssekcji potrzebne — i dla tego żalił się twój kolega, żeś zazdrośny ...

DOKTOR.

Zazdrośny? ... sztuki — może.

(Zamyśla się).

HELENA.

(*Do siebie*). Jakiż dziś smutny wyraz jego twarzy! ... (*głośno*). Nie skończyłeś opowiadać Panie Karolu.

DOKTOR.

(*Zimno*). Symptomata, jak mówiłem, tej śmierci mocno mnie dziwiły — dla tego zacząłem od staranniej, troskliwej obserwacji ciała. — Śladu zepsucia uchwycić nie mogłem, któryby mnie do zaczęcia czynności uprawnił. Dwie godziny tak przeszły — nagle zdało mi spostrzedz lekkie drgnienie — dalej nieznaczne odkryłem poruszenia — dalej jakby tchnienie w oczy mi wionęło — nakoniec przyszło przekonanie letargu i przybiegłem tutaj. — Skutek kordiału twego nadzwyczaj był prędkiej. — Ocknęła się panna Kassylida i spokojnie znów zasnęła.

(*Kaszele mocno*).

HELENA.

Jakże kaszlesz Panie Karolu!

ROMUALD.

Zaziębilesz się trochę — i teraz coraz zdrowsza?

DOKTOR.

Znacznie do sił przychodzi — byłem u niej dwa razy — ale czy nie czas na obiad ... spieszno mi cokolwiek ... wybaczcie.

ROMUALD.

Prawda — pierwsza godzina — (*do Heleny*). Nie uważam, czy subjekt powrócił?

HELENA.

(*Patrząc w okno u drzwi*). Tak jest ojciec — widzę go ztąd.

ROMUALD.

No to spytaj się Helenko, czyli obiad gotów.

(*Helena wychodzi*).

Doktorze! reputacja twoja za nadto ustalona, aby potrzebowała blasku, którym ten wypadek uświetni wysokie twoje zdolności — ale jednak przyznaj, że jesteś nadzwyczajnie szczęśliwym (*śmiejąc się*). Dalibóg, jabym z tobą nie śmiał grać w zielone!

HELENA.

(*Wracając*). Obiad już na stole.

DOKTOR.

Słusznie mówisz Romualdzie — jestem nadzwyczajnie szczęśliwym — a jak zawsze na świecie — więcej szczęścia niż zasługi — (*wstając*) chodźmy jeść.

ROMUALD.

Na to się nie zgadzam — to jest na to, co mówisz — bo na obiad ci służę.

(*Doktor wychodzi — za nim Romuald.*)

HELENA.

(*Patrząc za doktorem*). Mój Boże! cóż to za prostota w tym człowieku.

(*Odchodzi.*)

Pokój doktora Karola — lampa na stoliku przed kanapą.

DOKTOR.

(Przechadza się wolno po pokoju).

Lepiej temu biedakowi — i mnie lżej nieco — okropnie byłoby to powiedzieć sobie: Umarł — osierocił żonę ... dzieci ... boś ty twojej uchybił powinności — obowiązku względem cierpienia ... bliźniego *(z dumą)* uchybiłeś twój sławie — skłamałeś powołaniu — karyerze.

(Zatrzymuje się i spuszcza głowę).

O mojej karyerze ... sławie ... wszystko byłem zapomniał ... ona jedna tylko była na świecie.

(Rzuca się na kanapę).

I jój lepij ... żyć będzie ... a ja?

(Po długiej medytacji — z czoła odgarnia włosy).

Tu gorąco — *(Z smutnym uśmiechem patrząc w komin)* to wczorajsze popioły — przypominam sobie — wczoraj mi zimno było.

(Kasze).

Zwyczajnie — chory jestem po prostu.

(*Wstaje — chodzi — po chwili staje przed zegarem*).

Jedna doba się kończy — życia nowego! — Nowego? ... Czemu? ... czy miałem jaką żądzę która dziś ustała? ... miałem jaką nadzieję, która dzisiaj spełzła? ... nie — nie wcale.

(*Mileży i wzrokiem w koło siebie zatacza.*)

Taki sam jestem! ...

(*Chodzi znówu.*)

Czyliż sam zawsze nie byłem? ... nie chciałem być zawsze samym? ...

(Kasze).

Cóż się w téj koniecznej dla mnie samotności zmieniło? ... nie mamże moich książek ... moich chorych? ... nie dosyć że to, aby zatrudnić i rozum i duszę? ... a moja ambicya, którą chcę zaspokoić ... która tego wymaga? ... Sztuka ... reputacya ... ludzkość ... ambicya, czyż to wszystko wystarczyć mi nie ma? ... Oh powinno wystarczyć ... to wszystko piękne ... użyteczne .. wielkie ... musi zapełnić istnienie człowieka — musi! ...

(Chwila milczenia).

Ależ to wszystko zimne — to dosyć dla głowy
— dla umysłu ... Lecz dla serca ...

(Staje nagle).

Moje serce zniszczone — starło się na pył
w okropnej z mą wolą szermierce — przewidzia-
łem — chciałem — stało się — *(z wyrazem go-
rączy)* Nieprawda! ... słowo straszne! ... Kłam
zadany duszy ... woli ... sobie! ... *(Kładąc rękę
na serce)* Czuję ... o czuję ... serce moje zgru-
chotane — lecz żyje! ... Czuję konwulsyjne jego
drgnięcia ... słyszę jak woła ratunku ... zbawie-
nia ... w myśli, któraby u niego balsamicznie
tchnęła ... zcaliła go ... ogrzała krew zastygłą ...
by znów biło ...

(Jakby w gorączce).

Nieprawda! ... jemu tylko myśli téj potrzeba
— myśli téj kochania ... miłości ... Nieprawda!
nie! ono nie umarło! ... serce moje w letargu ...
Ale któż go przebudzi, któż go z niego wyciągnie?
Nikt na to nie umieć — nie chcieć — ale
kochać ... miłości potrzeba ... *(z ironią)* któż ko-
cha! ... *(z decyzją)*. Ja sam jestem — bo sam
w myśli — na zawsze! ...

(Siada na kanapie — po chwili bierze maszynalnie leżące gazety i listy — przegląda adresa.)

Nie ma nic z królestwa — ni gazety ni listu ..
(*Wołając*) Jakóbie! . . .

(Kasze.)

JAKOB.

(Wchodząc — do siebie.) Kaszle ciągle — co Pan każe? ..

DOKTOR.

Brakuje mi dzienników — gdzie są? ..

JAKOB.

Z królestwa? .. wczoraj Panu mówiłem, że poczta z królestwa nie przyszła — i dziś także.

DOKTOR.

To dziwna. —

(Otwiera jeden z listów.)

JAKOB.

Śniegi zapewne spadły.

(Idzie ku drzwiom i wraca.)

Ale — zapomniałem powiedzieć, że Pan Władysław był u Pana — chciał się z Panem widzieć.

DOKTOR.

Władysław? .. kiedy? .. widziałem go w po-
łudnie.

JAKOB.

Kwadransiem, nim Pan wrócił.

DOKTOR.

Musiał go jakiś nagły interes zaskoczyć.

(Czyta dalej.)

JAKOB.

Nie zrobić ognia na kominku? ..

DOKTOR.

(Czytając) Nie.

JAKOB,

(Do siebie — przedrzeźniając.) Nie — powie-
działby kto, że zdrow jak ryba. —

(Odchodzi.)

DOKTOR.

(Czyta listy — potem myśli chwilę i zabiera się do gazet — gdy Władysław wchodzi.)

Dopiero co mi Jakób powiedział, żeś był
u mnie Władysławie — że się ze mną chcesz
widzieć — byłbym poszedł, ale bałem się minąć —
czekałem, byś wrócił — siadaj tu koło mnie.

WŁADYSŁAW.

Wszak jesteśmy sami? ...

DOKTOR.

Czy ja sam, pytasz? (*z uśmiechem*) czy mnie nie znasz? — mów tylko — co rozkażesz? ..

WŁADYSŁAW.

Mam Ci ważną udzielić nowinę.

DOKTOR.

Nowinę? .. (*obojętnie*) spodziewałem się, że mnie potrzebować będziesz ...

WŁADYSŁAW.

Nie Karolu. (*ciszej*). Rewolucya wybuchła w Warszawie.

DOKTOR.

(*Z żywością.*) Kiedy?

WŁADYSŁAW.

29. Listopada — onegdaj.

DOKTOR.

Onegdaj ... (*do siebie*) Była w letargu — nie umarła — zmartwychwstała ... traf szczegóły! ..

(do Władysława) a jakże to wiesz?.. przez kogo?..
co się dzieje?..

WŁADYSŁAW.

Czytaj ten list — doszedł mnie na drodze
handlowej.

DOKTOR.

(Przebiega list — i oddaje.)

Więcej nic nie wiesz?

WŁADYSŁAW.

Nie — cóż mówisz na to Karolu?

DOKTOR.

(Z oczywistém roztargnieniem.) Co mówię... co
ja mówię...

(Wstaje nagle i woła.)

Jakóbie! Jakóbie!.. (z decyzją) Ja mówię,
że jadę przyjacielu.

JAKOB.

(Wchodząc.) Jestem Panie.

DOKTOR.

Okulbacz mi konia.

JAKOB.

Śmiałą — czy — Wolnego?

DOKTOR.

Wolnego (z uśmiechem) naturalnie Wolnego.

JAKOB.

(Do siebie.) To biegus — gdzieś daleko pojedzie... a słaby... (głośno). Czy zaraz osiodłać mam Panie?

DOKTOR.

Natychmiast... chcę jechać.

WŁADYSŁAW.

(Do siebie.) Co mu się dzieje?

DOKTOR.

(Do Jakóba, który wychodzi). Czekał chwilę — (cicho do Władysława). Sądzisz, że już Rząd o tem się dowiedział... może zawiadomiony...

WŁADYSŁAW.

O bez wątpienia.

DOKTOR.

(Zdejmuje pistolety ze ściany.)

Przypnij olstry do siodła — włożysz pistolety — (z prostotą) droga przez bór wypada.

JAKOB.

(*Bierze pistolety.*)

(*Do siebie wychodząc.*) Boi się troszkę — to już chory być musi na dobre.

WŁADYSŁAW.

I gdzież jedziesz?

DOKTOR.

Do królestwa.

WŁADYSŁAW.

Jakto? . . tak jesteś . . . teraz zaraz? . .

DOKTOR.

Za dziesięć minut — tylko list jeden napiszę.

(*Kasze i chodzi szybko po pokoju.*)

WŁADYSŁAW.

(*Na stronie.*) Zwyczajnej zimnej krwi dziś nie ma . . . spróbuję go zatrzymać (*głośno*) Karolu co tobie?

DOKTOR.

Nic. —

WŁADYSŁAW.

Tyś chory?

DOKTOR.

Tak, trochę — ale to nic nie szkodzi — ja mogę jechać.

WŁADYSŁAW.

Nie jedź dzisiaj — proszę Cię.

DOKTOR.

Ja muszę . . . chcę jechać — pojedę Władysławie.

WŁADYSŁAW.

(Do siebie.) Przepadło — pojedzie — nic w tém nie poradzę — *(idąc do doktora.)* Bądź zdrów zatem Karolu — do zobaczenia . . .

DOKTOR.

(Biorąc go za rękę.) Gdzie?

WŁADYSŁAW.

No gdzieżby? . w Warszawie.

DOKTOR.

(Ściskając go.) Wybacz mi Władysławie to pytanie . . . jam wiedział . . . ja cię znam . . . Bądź zdrów i do rychłego.

WŁADYSŁAW.

(Idzie ku drzwiom — obraca się — i patrzy na doktora, który nieporuszony stoi.)

Karolu! ty masz coś na sercu.

DOKTOR.

Moż . . . lecz nie to.

WŁADYSŁAW.

(Z czułością.) Powiesz mi? . .

DOKTOR.

Powiem — kiedyś — może na placu bitwy.

WŁADYSŁAW.

Na placu bitwy? *(z uśmiechem)* więc ci potrzebne do tego bicie bębnow . . . huk dział . . .

DOKTOR.

(Seryo.) Nie — lecz widok trupów . . . jęk rannych — wszak wiesz, że ja do nich należę.

WŁADYSŁAW.

Więc na pobojuwisku — do widzenia. — Żegnam Cię.

DOKTOR.

Bądź zdrów.

(Władysław wychodzi — doktor po chwili namysłu przenosi lampę i siada do stolika.)

Zostawmy list Romualdowi — niech ułatwi bieżące interesa — niech pamięta o chorych — a z resztą? — — nic — ja sam jestem.

(pisze.)

(The following is a list of the names of the persons who have been elected to the office of the Secretary of the Board of Directors of the New York and New Jersey Electric Light and Power Company, for the year ending December 31, 1900.)

For the year ending December 31, 1900, the following persons were elected to the office of Secretary of the Board of Directors of the New York and New Jersey Electric Light and Power Company:

(Name)

Plac przy bramie miasta na drodze do Kalisza — na prawo odwach — dwie latarnie go oświecają — przed odwachem szyldwach przechodzi tam i nazad — wśród nocnej ciszy słysząc w oddali tentent kopyt końskich po bruku.

SZYLDWACH.

(Staje — i patrzy w ulicę ku bramie wiodącą.)

Nie nie widać, jak na złość — chmury niebo zaciągnęły — księżyc przebić się nie może — wczoraj to jasno, jak w dzień było — dziś co befel: patrz! uważaj! to ciemno, wykłuj oczy...

(Słucha — kroki końskie się zbliżają.)

Niezawodnie tu ktoś na koniu jedzie — muszę go zatrzymać — taki rozkaz.

(Idzie ku budce pod latarnię — człowiek na karym koniu z bramy wyjeżdża.)

Stój! kto idzie?

JEZDZIEC.

(Galopem puszcza konia i osadza przed budką.)

Polak!

SZYLDWACH.

To wy Panie Doktorze — jedźcie z Bogiem.

JEZDZIEC.

(Poprawiając płaszcz.) Mylisz się przyjacielu — to nie doktor.

SZYLDWACH

(przystępuje do konia z bagnetem.)

Jakto się mylę? .. kiż tam djabli — przecież ja Pana znam i dobrze — no jedź .. jedź Pan Doktor — to nie dla Pana befeł.

(Wraca ku budce.)

JEZDZIEC.

Powtarzam Ci — ja nie doktor dzisiaj — tylko — Polak.

(Spina konia i odjeżdża czwale.)

PODOFICER.

(Wychodzi z odwachu.)

Szyldwach!

SZYLDWACH.

Słucham.

PODOFICER.

Kto to odjechał?

SZYLDWACH.

Zatrzymałem go — to Doktor Karol.

PODOFICER.

Poznałeś go?

SZYLDWACH.

Jeszczeby téż — gdyby nie on, dawnobym był wdowcem.

PODOFICER.

Czemuż on mówił: ja nie doktor, tylko Polak.

SZYLDWACH.

Ot zwyczajnie żartował — musi być dziś w bardzo dobrym humorze — ha wreszcie — bo i Polak.

PODOFICER.

(Patrzy za doktorem.)

Proszę jak leci — szkapa rwie gościniec — a gdzie jechał?

SZYLDWACH.

A licho go tam wie — zapewne gdzie kto cierpi.

PODOFICER.

(Patrzy ciągle.)

Płaszcz mu się rozwinął — podkowy iskry
sypią — w nocy to jak duch się wydaje.

SZYLDWACH.

To djabeł cały ten Doktor Karol — on tak
zawsze leci.

PODOFICER.

Choć zawsze tak jeździ — przecie ktoś bar-
dzo musi być chorym téj nocy.

(Północ bije na zegarze miasta.)

SZYLDWACH.

Godzina — Panie Podoficer — trza zluzo-
wać wartę.

(Wola.)

Do broni!

(Żołnierze wychodzą z odwachu i zmieniają wartę.)

KONIEC DRUGIEJ DOBY.

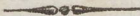
EPILOG.

BRACIA JAK
WŁADYSŁAW
KOTCHENKO
Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1881.

OSOBY.

HRABIA JAN,	{	oficerowie jazdy polskiej.
WŁADYSŁAW,		
ŻOŁNIERZ.		

Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1831.



Kwaterna wojskowa — na kanapie siedzą hrabia Jan i Władysław — fajki palą — pierwszy w szlafroku rękę prawą na czarnej ma chustce, jakby na temblaku — drugi w mundurze hutańskim.

WŁADYSŁAW.

Więc Ci lepiej Janie?

HRABIA.

I dużo — spodziewam się za dni kilka módz wnijsć nazad do pułku. Na długoś w Warszawie?

WŁADYSŁAW.

Nie zdaje mi się — jestem tu z Karolem, razem mamy odjechać.

HRABIA.

I gdzież się obraca — co porabia nasz lekarz sztabowy?

WŁADYSŁAW.

Ciągle to samo — leczy — a pierwszy strzał armatni w żołnierza go zmienia. — Dziś tu przyjechał zwiedzić lazarety. A propos lazaretów — powiedziano mi — czy prawda, że Twoja kuzyna przyjechała i ciągle w szpitalach przebywa?

HRABIA.

Prawdę Ci mówiono — Kassylida jest tutaj — zupełnie szarytką.

WŁADYSŁAW.

Widział ją Karol, — niewiesz?

HRABIA.

Jakto? nie mówił Ci o tém?

WŁADYSŁAW.

Ani słowa.

HRABIA.

Zawsze równie szczególny — Spotkali się przy łóżku pocziwego wiarusa w lazarecie na krakowskiem przedmieściu — w sali, gdzie i mnie po Grochowie złożono — biedakowi amputowali rękę — wystaw sobie, Kassylida trzymała

WŁADYSŁAW.

(*Z ciekawością.*) I widziałeś spotkanie?

HRABIA.

Naturalnie — widziałem.

WŁADYSŁAW.

No i cóż?

HRABIA

Co? nie . . . ot spotkali się jak dwaj starzy przyjaciele.

WŁADYSŁAW.

Nic Cię nie uderzyło?

HRABIA.

A cóż uderzyć miało?.. źle mówię — prawda — uderzyło mnie, że całkiem ze spotkania nie byli zdziwieni — że tu — właśnie na tém miejscu — w takich okolicznościach. — Tak mi się przynajmniej zdawało — ścisnęli się za ręce (*śmieje się*) i zaczęli sobie Ty mówić.

WŁADYSŁAW.

I o czém mówili?

HRABIA.

O sobie ani słowa — o polityce wiele.

WŁADYSŁAW.

(*Po chwili milczenia jakby odpowiadając sobie.*)

Tak — tak jest.

HRABIA.

Co mówisz?

WŁADYSŁAW.

Nic.

HRABIA.

(*Śmiejąc się.*) No przyznaj się — myślałeś jeszcze o miłości Karola — ha, ha, ha, nie, to niepodobna!

WŁADYSŁAW.

Myślę więcéj, niż kiedy.

HRABIA.

Ha, ha, ha, doskonały ty jesteś Władysławie!

WŁADYSŁAW.

(Seryo.) Śmieć się jak chcesz — ja ci mówię,
że oboje przedmiot miłości zmienili.

HRABIA.

Oboje? (Z zadziwieniem.) Kto oboje?

WŁADYSŁAW.

Tak jest — Kassylida i Karol.

HRABIA.

Mniejsza o Karola — skoro już chcesz konie-
cznie, a jesteś nie do uleczenia — ale Kassylida? . . .
i ta się kochała? . . .

WŁADYSŁAW.

Może. —

HRABIA.

I w kimże przecie? — mój ty romanso-
twórco.

WŁADYSŁAW.

Nie wiem — lecz na tém nie zależy — bo
dzisiaj

HRABIA.

Skończ, proszę Cię.

WŁADYSŁAW.

Dzisiaj — nie kochają się Kassylida ani Karol
w nikim — prócz w Ojczyźnie.

HRABIA.

(*Ironicznie.*) To bardzo pięknie! . . .

WŁADYSŁAW.

O zapewne, że pięknem jest i bardzo, to cudowne szlachetnych dwóch serc spotkanie w świętej naszej sprawie!

HRABIA.

(*Z uśmiechem.*) To spotkanie, jak mówisz doskonale, sławnie romans kończy.

WŁADYSŁAW.

Nie — ale masz rację — rozwija dramat.

ŻOŁNIERZ.

(*Wchodzi — i oddaje Władysławowi bilet.*)

Od lekarza sztabu.

WŁADYSŁAW.

(Po przeczytaniu do żołnierza.) Idź naprzód —
powiedz, że zaraz przychodzę.

(Żołnierz wychodzi.)

Karol mnie uprzedza, że odjeżdża natychmiast
— *(wstając i przypinając pałasz.)* Pewnie się o ja-
kieś dowiedział rozprawie. — Bywaj zdrów Janie
— wyzdrowij prędko i powracaj.

HRABIA.

O chciałbym jak najprędzej. — Bądź zdrów —
dziękuję Ci, żeś mnie odwiedził — życzę szczęścia.
(Władysław odchodzi — hrabia zamyśla się.)

Miałżeby Władysław mieć racya?

(Wstaje.)

Ej gdzie tam — to egzaltacya!...

(Zapala fajkę.)

KONIEC EPILOGU

i

DRAMATU.

JESZCZE

O

DOKTORZE KAROLU

SŁÓW KILKA.

KON

RECEIVED

9

STONER & SONS

NEW YORK

1888

karakter, do prywaty przenosić — obszerne to życie, w ciasnych ludzkiego uczucia ograniczać szrankach i w fantastyczném opisać zdarzeniu. — Nie bylibyśmy śmieli, wielką tę sztukę, nieświadomością technicami skreślać szczegółami; — tę niezachwianą cnotę, wątlemi oblekać kolory; — tę potężną wolę naginać do błachych literackiej kompozycji prawideł; słowem — więcej od nas trzeba było mieć odwagi, aby się pokusić o ujęcie w ramy przez karła złożone — olbrzyma.

Później — w chwili, gdy łyzy, które jego wycisnęła strata, jeszcze w źrenicach błyszczały — gdy naród i ludzkość grubą po nim nosiły żałobę — wykonanie naszej myśli świętokradztwem nam się prawie wydawało. A chociaż byliśmy przekonani — tak jak dziś jesteśmy — iż ubliżyć mu, chęcią naszą, w żaden nie możemy sposób; wstrzymywała nas jednak bojaźń, aby cień tej wielkiej postaci, naszą wywołany pracą, samém ukazaniem się swojém ... do właściwej nas nie strącił nicości.

Parę lat od tej bolesnej upłynęło chwili.

Dziś — Doktor Karol należy — do historyi — do ludzkości — do każdego. Jest też w pamięci wszystkich — w pamięci każdego. Dziś, każdy go sobie, stósownie do wyobrażeń — za-

sad i uczucia, że tak powiem, wyrobił — przyswoił. Dziś każdy go ocenił — pokochał lub uwielbił.

Lecz jak życie Doktora Karola było jedno poświęceniem — tak i pamięć po nim tą nas uderza cechą. W ludzkości ginie postać człowieka: w czynach ginie jego życie: w pamiątkach zaś — wspomnienia. Nigdy też i nigdzie nie widzimy śladu prywatnych tego męża cierpień. A jednak — kto takie jak on miał serce — taką jak on duszę — ten, nieraz wewnątrz siebie cierpieć ... z sobą samym ciężko walczyć musiał. Cierpienia, które w ogóle ukoił — zatarły w tym samym ogóle pamięć jego własnych.

Długo — jeszcze za życia Doktora Karola byliśmy przejęci myślą walki między jego wolą, a sercem stoczoną. — Towarzyszyła ona osobie jego zawsze w umyśle naszym — dziś ciągle ją wywołuje każda o nim wzmianka. Ulegamy sile, która nam ją na świat rzucić każe — ulegamy w przekonaniu najlepszej woli i chęci. Fałszywa miłość własna nie zatrzymuje nas wcale. Gdyby mocniejszą była nad to — co, dusza wyrzec pragnie — sądzilibyśmy się być prawie idiotą.

To pół duszy — mawiał doktor Karol, o człowieku, u którego miłość własna górę brała.

Wszak i najmniej biegłym malarzom najwspanialszych wolno jest chwycić się przedmiotów. Rafaela sto osób co dzień w Galeryach Włoskich kaleczy. Z nami uczyni krytyka to, co komisye znawców z obrazami czynią. Niegodnych odsądzają od zaszczytu miejsca w muzeach narodowych — bomazom wystawy wzbraniają. My, kwiatek nieznany ... lichy — na jaki nas stać — ciszamy w kolej szerokiego gościńca, którym ciągnie pamięć tego wielkiego męża — nie pytając, czy zdeptanym zostanie. Woń nad grobem jego przeleci i zniknie — bo śmiałość nasza jest tylko uwielbieniem, nieudolność — holdem.

Walka ta, że się kiedyś w Doktorze Karolu odbyła — przecucie nam wątpić nie pozwala: w jakich okolicznościach — nie wiemy: w jakich rozmiarach — dobrze nawet pojęciem ogarnąć nie możemy. Wszystko to, i jej skutek czyli wpływ przez nią na życie wywartu, leży w tajnikach, które ziemia dziś pokryła.

Lecz jakkolwiek bądź udało nam się wystawić tę walkę, czujemy aż nadto niedoskonałość skreślonej przez nas szkicy, jeżeli na nią publicznego życia nie zarzucimy togi. Do ułożenia

niezliczonych jój fałdów — najznakomitszych artystów przywołaćbyśmy radzi. Torwaldsen — Kanowa — ludzie naszego czasu, nie dopisałiby może zadaniu — nie dosięgliby może kolosalnego posagu. U starożytnych mistrzów, gdyby ich wskrzesić się dało, daleko znaleźćby można pełniejszą wykonania rękomię. Nie znając ciastnego egoizmu panowania; nie zmrozeni jego zimnym duchem — gorętszemi byłyby ich ruchy — szerszemi składy — obszerniejszemi zwoje: słowem, życie obywatela łatwiejby można poznać w kształtowaniem przez nich dziele.

Życie zaś Doktora Karola — to karta w narodu i ludzkości zapisana księdze — karta, którą patryotyczne usiłowania i filantropiczne ofiary wypełniają w całości. Wydrzeć ją — sam czas nawet nie potrafi: przepisać — prawie niepodobna: zrozumieć ją — może kiedyś będzie trudno. Jeden obywatel — tyle zasług: jeden człowiek — tyle poświęcenia. Z osobistego więc ją tylko naszego stanowiska, i w krótkim postaramy się oddać zarysie. Nie będzie to opinia — ani zdanie — tém mniej sąd jakowys, ale wierne znów tylko odbicie wrażenia, jakie zapatrywanie się na czyny Doktora Karola w głębi nas samych zostawiło.

Po wypadkach nieszczęśliwych roku 1831. udał się Doktor Karol za granicę. Tam — jak wszędzie i zawsze ludzkości oddany, życia swego nie zmienił: sztukę tylko wydoskonalił — reputacyi dokończył. Odtąd — Europejskim był lekarzem. Znalazł on i tam wszakże wyprutą z łona Ojczyzny żyłę — którą skrzętnie do serca swojego przywiązał. W zasilaniu jęj nie znał trudu ani ofiar — krwią własną chętnieby ją był zasycił. Nią, była Emigracya.

Wkrótce jednak poznał Doktor Karol, że nie na właściwem znajduje się miejscu. Z dzienników, z korespondencyi, które z krajem utrzymywał, przez przybywających rodaków przekonał się, że rok 1831. w działaniu zaborczych trzech mocarstw przeciw Polsce wymierzonym, nową stanowił Epokę. Każde z nich, inną — właściwą — ale zawsze ku całkowitemu jęj zniszczeniu dążącą — obrało sobie drogę. Zawistne przeznaczenie wytrąciło było oręż, który Doktor Karol w celu wywalczenia niepodległości rąco był pochwycił. Z końcem walki Wiara mu się tylko została. Lecz wiara w niepodległość martwą u niego nie była. Opierała się na nadziei — a tém samém prowadziła do czynu. Bo skoro ujrzał podporę swęj wiary w narodowości zagrożoną —

spieszyć na jój ratunek natychmiast postanowił. Jakoż przybył niebawem do rodzinnego miasta, gdzie powszechnej radości został powitany okrzykiem.

Tu, w prawdziwym już widzimy Doktora Karola występującego dramacie. — Sceną jego — kraj cały; Czasem — reszta życia; Intrygą — bój ze szczepem; Przeciwnikiem — mocarstwo; Powiernicą — ojczyzna; Katastrofą — fatalność; Spektatorem — świat cały: dramat — którego rytec historii jedyną może być krytyką.

Zaraz po przybyciu Doktor Karol zatoczył swym bystrym w około siebie wzrokiem. Spostrzegł, jak zatruty żywioł wsącał się przez otwarte pory zbolełego ojczyzny ciała: — jak starannie się wlewał w arterye próżne brakiem krwi tylokrotnie wylanój: — jak nareszcie osadzał się i rozpierał wszędzie, gdzie wygodne miejsce do zajęcia dla siebie upatrzył. Rozgościwszy się zaś przekształcał się w narość silnie w kości uwiązłą: a lubo na oko nie psuł jeneralnej harmonii, zawsze jednak częścią, gdzie osiadał, celowi swemu więcej odpowiadać nie mogła. Brakowi temu zapobiedz, czyli próżnię wypełnić — aby zatrzymać zjadliwy ten napływ, osadził Doktor Karol być pierwszą i konieczną ratunku potrzebą.

Stan więc nowy w kraju utworzyć trzeba było — bo żywioł obcy stan ten zastąpić usiłował. Miał on być węzłem czyli spójnią łączącą kończyny dwóch istniejących stanów, zarównaniem przerwy, z której nieprzyjaciel korzystał. Sprowadzenie narodu do troistości w klasyfikacyi jego członków zamierzonemu przez Doktora Karola odpowiadało celowi. Stan ten, którego istnienie w przyszłości dopiero było naznaczone — nie mógł innego w kraju zabrać miejsca jak tylko wakujące: to jest między intelligencyą i większą własnością — a nieintelligencyą i małą własnością — musiał więc być przemysłem — czyli stanem pośrednim (tiers état.)

Wiedział Doktor Karol, że trzy główne w tej mierze napotka przeszkody: brak tradycyi, charakter narodowy i jeografia czyli położenie fizyczne, czyniące kraj rolniczym, a nie przemysłowym. Demokratyczne zasady, na których wychowany, wykształcony . . . którymi był przejęty — pchając go do ciągłej ofiary — w niej niesłychaną kazały upatrywać siłę. Ani téż chwili nie zawątpił jednej — o podobieństwie przyprowadzenia do skutku tego ogromnego dzieła. Trzy wspomniane trudności troistem umyślił pokonać poświęceniem. Pierwszą — brak tradycyi — poświęceniem wszelkich ko-

rzyści stanu wyższego jako takiego — czyli demokratyczną równością. Drugą — charakter narodowy — przełamać poświęceniem w edukacyjnym kroju czyli aby rzemieślnika uczynić oświeconym. Trzecią na koniec — poświęceniem materjalnem czyli dobrowolném zrzeczeniem się procentów, i chętnem poniesieniem strat, wynikłych z pierwszych usiłowań spekulacyjnego ducha. — Taką zdawało nam się widzieć myśl w Doktorze Karolu, gdy rękawicę przez obcy żywioł narodowości polskiej rzuconą, śmiało podejmował.

Doktor Karol był człowiekiem czynu. Myśl w dzielnej jego organizacyi, żywotnemi siłami przepełnionej poczęta — w wykonawczej od razu formie się rodziła. Światłość dzienna, czynu dla niej stawała się blaskiem. I być téż inaczej nie mogło. W charakterze, gdzie Wiara na prawości sumienia i uczucia oparta jedyną jest logiką; — wola sądem — a czyn koniecznem następstwem być musi. Powziąwszy zatém raz przekonanie o istotnej potrzebie stanu pośredniego, zwołał Doktor Karol przyjaciół — aby z nim razem wzięli się do dzieła. Jeszcze w uniwersytetach Niemieckich zaprzyjaźnił się był z synami wielu bogatych kraju obywateli. W ściślejsze z nimi wszedłszy później związki, przez nich na resztę młodzieży wpływając — mimowolnie

prawie znajdował się na czele silnej klienteli. Za jej pomocą, pierwsze w pomysle Doktora Karola rozpoczęte prace.

Jawną było rzeczą, że żywił, z którym walczył, zawsze postępował cywilizacyi okryty płaszczykiem: że pozorną swoją niezbędność, w dążności, ku oświecaniu klas niższych i polepszaniu bytu materialnego — wykazywać usiłował. Wielkie przeto narodowe przedsięwzięł Doktor Karol założyć stowarzyszenie, w celu rozdawania biedniejszym pomocy naukowej: wielki też gmach nasamprzód wybudować postanowił, w którym wszystko ku wygodzie i zbytkowi nawet służące przez krajowców dostarczaniem być miało.

Bezinteresowność Doktora Karola rozbrajała najzaciętszych jego przeciwników — cnoty i zasługi zaufanie mu jednały: — poświęcenia powszechne budziły uwielbienie. Nieprzyjaciół mieć nie mógł — został też królem opinii. Krzepko jej ujął panowanie, a wolą swoją jakby berłem nadając jej kierunek, był istotną w swej prowincyi potęgą. Całą opozycją przeciw rządowi w swojej zawarł osobie — bo w niej skoncentrował całe narodowe działanie. Przez niego wszystko się działo: — znaczne przez jego ręce przechodziły fundusze: wielkimi rozporządzał zasoby — wielkie też przez nie

uskuteczniał przedsięwzięcia. P d jego przywództwem liczne i użyteczne zawiązało się towarzystwo — stósownie do jego życzeń stanął gmach wspa-
niały, z którego, jak z wątka, miał się dalej projekt Doktora Karola wysnuwać. Tu była Apogea jego potęgi i sławy.

Lecz jakkolwiek wysokim był szczyt, na którym wola go silna utrzymywała, — a gdzie go okoliczności wyniosły, charakter ten prawy nie mógł doświadczyć najmniejszego głowy zawrotu. Nie raz on wtedy mawiał, że jest dzieckiem ludu. Z prawdziwą opowiadał prostotą, jak w zamku wielkiego Pana — w obec zgromadzonych gości — przypominał mu wieśniak jego matkę — którą znał, bo często w jój małym sklepiku gorącym rozweselał się trunkiem. Jednakże zawsze dla ubogich wylany i dobroczynny — czas na te wszystkie zatrudnienia wystarczać mu nie mógł. Nocy całe ku usłudze ludzkości obracał — i w ciągłych wysileniach wiele nadwreżył zdrowia.

Tak minęło blisko lat dziesięć.

Myśl jego rosła w czyn — ale rosła i w trudności. Nie wejdziemy tu w rozbiór, czy jest możebném — lub nie — utworzenie nowego żywiołu w niesamoistnym narodzie. Co pewna — to, że coraz więcej dobrej woli —

silniejszego przedsięwzięcia — ogromniejszego wymagało poświęcenia. Często wyczerpywały się zasoby — często nowych składek żądał Doktor Karol. Zaczęła się tu i owdzie odzywać opinia: że myśl stanu pośredniego jest tylko utopią. W umyśle i duszy Doktora Karola utopią być ona nie mogła i nigdy szczerzszym nie był jak gdy powtarzał: Niech tylko pożyję lat pięćdziesiąt, a będzie nowy żywioł w Polsce. Bo on zdolnym był do podjęcia środka ku celowi — był człowiekiem nieprzebranéj ofiary.

Nie cel — ale środek, wykazał się być utopią. Z jedną potęgą nie porachował się był Doktor Karol — to jest z naturą ludzką. Mnie- mał z chorą ciągle mieć tylko do czynienia: a tę zwyciężać był przyzwyczajony. Ma ona jednak pewny swój kres — tak w materyalnej jak w idealnej sferze: w chorobie — jak w poświęceniu, na zmierzenie którego wyjątek czyli indywiduum za normę posłużyć nie może. W niewzględnieniu tego kresu natury ludzkiej — całe nieszczęście Doktora Karola. Ogół swoim mierzył on kompasem — przeciągał go bez względu na mi- łość własną — na konieczny do istoty jego przy- wiązany egoizm. Ogół wymiarowi sprostać nie mógł — niesłusznym go osądził. W końcu się

oburzył — i usuwać począł. W całym przeto następstwie, tego ofiarnego processu — nie było błędu, ani winy nieczyjój — była prosta i naturalna — ludzkich rzeczy i zamiarów — kolej.

Wymagania coraz większe — większy coraz wywoływały opór. Stan zdrowia Doktora Karola drażliwym i gwałtownym go czynił. Wkrótce, łberło, które w rękę dzierzył, absolutnym zaczął władać trybem — wkrótce téż wyraz despotyzm w poświęceniu uszy jego uderzył. Nie pojmował — jak może być despotyzm tam — gdzie według niego konieczna panowała potrzeba: jak może być poświęcenie tam — gdzie u niego przekonanie tak czynić wskazywało. Niepojmował a nieugiętej woli, postępowania swego nie odmienił. Spostrzegał jednak, że coraz więcej ubywało mu stronników — coraz mniej przybywało zasobów. Różne podnosiły się przeciwko niemu zdania. Występowały raz w oczy, śmiało — to znów po za oczy, pokątnie. Skutkiem stałości jego przekonania było, że go nakoniec o ambicyą obwiniać poczęto. Miałże się wyrzec Doktor Karol téj szlachetnej ambicyi — dla tego by niesłuszne usunąć podejrzenie? . . . Miałże zaniechać swego celu, w którym ratunek narodo-wości polskiej upatrywał — dla tego, że przy do-

pięciu wypadło mu kielich goryczy wychylić? . . . Miałże zniżyć z widowni politycznego życia, gdzie był przykuty pożytku z własnej osoby przekonaniem — gdzie tylokrotne z trudności pokonanych wynikające nabył przeświadczenie, iż go nikt w téj chwili zastąpić nie potrafi — dla tego, aby dowieść, że dla kraju jedynie pracuje, a dla siebie niczego prócz wewnętrznego zaspokojenia nie pragnie? Miałże udaniem się w domową zaciszę zniweczyć wielkie swoje zdolności, które za własność ojczyzny uważał, . . . miałże cofnięciem się od sprawy krajowej pozbawiać ją korzyści, które w popularności jego obficie czerpała — dla tego, aby odepchnąć od siebie koronę? . . . Koronę — ludzkości ręką z dębowych uwiłł liści, a którą narodowość gwałtem mu na skronie wciskała! . . . koronę — z której tak świetne dla kraju promieniły nadzieje! . . . koronę — w której zasługi, jedyne stanowiły klejnoty! . . . koronę — która w skromnych swych splotach nosiła przez całą Polskę dla niego przepolszczony napis: Obywatel Polski jestem i żadne poświęcenie za obce dla siebie nie uważam *)! . . .

*) Homo sum, humani nihil a me alienum esse puto.

Terentius.

Stanął Doktor Karol!.. Raz wtóry rzucił w około siebie okiem i — ujrzał się samym!.. Samym — w pośrodku przyjaciół, na których polegał. Samym — wśród dzieł rozpoczętych a w przekonaniu jego wielką rokujących przyszłość... Samym — w pośród kraju, któremu się poświęcił! — Sam był Doktor Karol z myślą w czyn na pół zmienioną — na drugą połowę wola jego sama — ale ta wola z ognia i ze stali — wystarczyć musiała. Stanął, — ale się nie zatrzymał. Szybko przestrzeń zmierzył — i poszedł. I szedł dalej krokami nad siły człowieka.

Tym czasem — pod niem nurtowała idea drogami — nie ludzką wskazanemi prawicą, w kształcie — objętym nie ludzkim rozumem: sposobami — nie ludzką dozwolonemi wolą. Poczut wkrótce Doktor Karol jakieś drgania konwulsyjne — jakby posłanniki trzęsienia ziemi, po której stępował. Zdało mu się — tu i owdzie spostrzegać pod nogami rysy coraz większe — głębsze — z których od czasu — do czasu — jakby przez szczeliny — ogień małym wymykał płomieniem. Słyszał poświsty, gwary — wróżbieste tchnienia, które ruchy w narodzie poprzedzają — i nieraz powtarzał: Któż tak śmiały?...

rzekonał się nareszcie o istocie rzeczy i nie przeląkł się .. ale zadrzał. Odkrył Wulkan wrzący bez jego wiedzy, w łonie tego samego żywiołu — którego mniemał, że swą myślą ogarnia. Zapytał się w słusznój dumie: Kto są ci — którzy bez niego do takiego przystępują dzieła? ... Jakiem prawem ten sam ogień, który on jawnie dla narodowości w obec świata rozniecał — oni — gdzie indziej — do ciemnych i ukrytych swych kuźni przenosić się ośmielają? ... Badawczém okiem przeniknął nowy ten przeciwko sobie zamach. Zobaczył — że te wszystkie zasoby, które on z tak ciężką nagromadził pracą ... które dla dopięcia swego przeznaczył celu; — że te materiały, które on do zagrzania wszystkich ku ojczyściej przygotował sprawie ... z których kiedyś ogromny płomień miłości i ofiary zapalić sobie obiecywał inni już, w daleko i głęboko, we wnętrzu ziemi, szerzący się zamienili pożar! ... Że dodając mu różnych, nie u tego samego źródła zebranych, lecz żarzących płynów, podziemny ten pożar wkrótce wybuchem zakończyć się musi — bo cienka już tylko warsztwa od spokojnej i niepalącej się oddzielała go powierzchnia.

Jakoż niebawem — bo szybko czas bieży w atmosferze wulkanów — przyszedł do Doktora

Karola ci — których on od dawna już śledził. Żądali — aby przeważną swą dłoń przyłożył do gotowego dzieła — które już ostatnią tylko iskrą podsyć trzeba było. Przeżytemu Mistrzowi — honor zostawić chcieli! . . . Wiedział Doktor Karol, że ruchu tego on już wstrzymać nie potrafi. Pierwszy raz zwątpił o swęj sile — o woli. Widział zaś, bo się przekonał, że to — do dopięcia czego on swoją wolę najbardziej wytężył, . . . to — za pół-środku dopiero uważaném było! . . . Potępił ich głośnie i udziału odmówił.

Doktor Karol był demokratą. Lud kształcić — podnosić i bronić, było jego zasadą. Inaczéj używać go nie umiał. Poświęcenie nieograniczone szczegółu dla ogółu, pojmował — poświęcenie niepewnych ogółu w niedokładnie określonym celu w prostocie serca swego się obawiał. Lekarz — rany Ojczyzny leczyć postanowił: — na nowe ją wystawiać dla problematycznej szansy, nie byłby się odważył. Człowiek dobrej woli — środków do najwyższego nawet celu, żadnych innych przyjmując nie mógł, tylko te . . . które w swém przekonaniu za dobre osądził.

Nadszedł rok 46. Buchnął wulkan!

Staął nad kraterem Doktor Karol — samotnik wielkiej myśli — olbrzymiego dzieła — bezmiernego poświęcenia. Patrzył łzawém okiem i ujrzał — co przeczuwał!... Widział: jak płynąca szeroko lawa zabierała w ognistym swym prądzie jego drogie ... uroczę nadzieje! — jak nurzała we krwi szlachetne jego dzieła czynniki! — jak niszczyła bez żadnej dla nikogo korzyści, najmozolniejsze jego zabiegi i usiłowania! — Widział: jak wyrzucone gromy wrogom tylko broń w rękę ciskały! — jak tłukły nielitościwie najniewinniejsze ofiary! — jak popychały braci na braci ... jak gniotły w tém straszném spotkaniu to, co wiecznie w zgodzie i jedności stać obok siebie miało przeznaczenie!...

Odwrócił szlachetne swe oblicze od przerażającego obrazu ... bolesnego widoku!... Odszedł — i usunął się w dali.

Raz wtóry także srogie przeznaczenie, kord polski wytrącało mu z ręki!... lecz teraz wola jego złamaną się czuła. Oglądnął się — czy znikąd nie przyjdzie pociecha? Nie przyszła! I skądże bo, pociecha dla niego przyjść miała?... kiedy jedynemu źródłu, skąd płynie, nigdy przystępu do swojej nie otworzył duszy!... Wielka ta skolatana dusza byłaby w niém teraz obficie

czepała! Byłaby pojęła — że to nie dla człowieka — nie darmo — nie przez zwyczaj jaki — codziennie świat cały na kolanach powtarza: Fiat voluntas Tua! Bądź Twa wola Panie!

Nie przyszła więc pociecha! . . . Ale równie i rozpacz do duszy człowieka takiego jak Doktor Karol zawitać nie mogła. Gdy posuwał wzrokiem po za siebie — zdało mu się — że jego kochanka . . . kochanka całego życia — ludzkość — wierną mu pozostała: zdało mu się, że ku niemu wyciąga ramiona. Do niej się też obrócił cały! . . . Rzucił się w jęj objęcia z całym ogniem ostatniego zapалу . . . z całą siłą ostatniej nadziei . . . całym pożądaniem ostatniej pociechy . . . z całą potrzebą szukania ostatecznego końca w nieukojonym i nieprzebranym żalu! . . . Poświęcił jęj w tym ostatnim uścisku — nie pieniądze — ani czas — ani trudy . . . ale poświęcił — życie! —

Pierś Doktora Karola, która pokrywała serce, takiej rozkazujące woli, taką ciągłą niczém nieposkromioną palającą żądzą; — pierś ta jakby rycerzy średniowiecznych kirys — ledwo nieraz uderzeń potężnych jego ruchów wytrzymać zdołała. Pękło serce przy złamaniu woli — pierś uległa pod tym okrutnym ciosem. Kirys często

odtąd żalosnym odzywał się jękiem. Nie zważał na to Doktor Karol, z coraz większym sił żywotnych wyczerpnięciem — chylając się dochodził do mety. Stał też u niej niebawem.

Ośm nie minęło miesięcy — a już bliski skonu, na wsi — w samotności ostatnie dni pędził. Wkrótce powstać i z łoża już nie mógł. Prócz jednego przyjaciela, który go nigdy nie opuścił, przystępu do niego nikt nie miał. Sam żył — sam chciał umierać. Cierpiał wiele w ostatnich chwilach. Skończył żywot słowami: Jezus! Marya! Józef!

Był to nowy — wielki krzyk: Galilee vici-sti!!!... wyrwany nie przez boleść i rozpacz — lecz zesłany w nagrodę za łzy otarte ... za cierpienia kojone ... które razem z błogosławieństwem ludzkość słała mu teraz, na drodze do wiecznego spoczynku.

Życzył sobie Doktor Karol być pochowanym w prostej drewnianej trumnie — bez żadnego napisu — bez żadnej ozdoby — na cmentarzu — w mieście gdzie się rodził. Stało mu się zadosyć. Zwłokom towarzyszyły ... lecz na cóż wyliczać się przyda? Pogrzeb Doktora Karola był takim — jaki sama ludzkość tylko wyprawić mo-

że — jaki wyprawia ulubieńcom swoim: ludziom sumienia bez skazy — poświęcenia bez granic.

Wymowny głos, te między innemi wyrzekł nad jego ciałem słowa:

„O gdybym mógł w téj chwili wydobyć
„z zimnego już serca twego Karolu, choć jedną
„iskrę téj prawdziwej i pełnej czynu miłości Oj-
„czyzny i bliźnich, gdybym mógł tym ogniem sło-
„wa moje zapalić i ciskać niemi w serca Wam,
„aby przepaliły i poroztrącały mury i wały sa-
„molubstwa i miłości własnej, które zabraniają
„wstępu szlachetnym uczuciom do serc świątyni!“

Grób zaś Doktora Karola: (pożyczamy tu pięknego — bo niezmyślonéj tęsknoty noszącego cechę — nieznanego nam autora opisu.)

„Sześcian potężny granitowy, z gruba tylko
„obrobiony gniecie te drogie zwłoki — napisu
„żadnego nie ma — trzy smutne i chorowite
„drzewka sterczą po rogach — czwarty róg pu-
„sty — kamień klęśnie już w ziemię — bo cię-
„żki, a podmurowania na stoku fortecznym dawać
„podobno nie wolno — skromne i zdziczałe tylko
„nagiętki otaczają go złocistemi koronami. Ogro-
„dzenie z łąt zwyczajnych oddziela to miejsce od
reszty cmentarza.“

Tak spoczął Doktor Karol — ale spoczął z nadzieją. Powiedzieliśmy bowiem, że rozpacz do serca jego zakolać nie mogła. Lecz nie sama tylko szlachetność i wzniosłość duszy była jęj na przeszkodzie. Broniła go także od nięj — nadzieja: nadzieja — nie dla siebie — lecz dla idei, w którą wierzył — którą w siebie wcielił. Czuł się wprowadzić zgruchotanym Doktor Karol w rozwoju dla nięj przeznaczonym — lecz ani chwili o zwycięstwie jęj w przyszłości nie wątpił. Wiedząc, że postęp idei, ofiar koniec nie wymaga — on — za szczebel mu posłużył.

Żył w tém samém mieście, co Doktor Karol, i w tym samym czasie, mąż . . . wielkięj także nauki — wzniosłego umysłu — mocnej woli — szlachetnych uczuć — licznych w narodowości zasług — ale w przeciwnym . . . choć zawsze w polskim, stojący obozie. Podobnie jak Doktor Karol, przewidywał mąż ten r. 46. wypadki — lecz nie miał on nadziei żadnego w przyszłości tryumfu. Przeczucie upadku idei, której sztandar z nieskazitelną przechowywał godnością i powagą — przeczucie to sprawiło taki zamęt wewnątrz niego, że tych wypadków doczekać się nie chciał — nie doczekał. Ach cze-

muż, niestety! doczekawszy się ich Doktor Karol przeżyć długo nie potrafił!

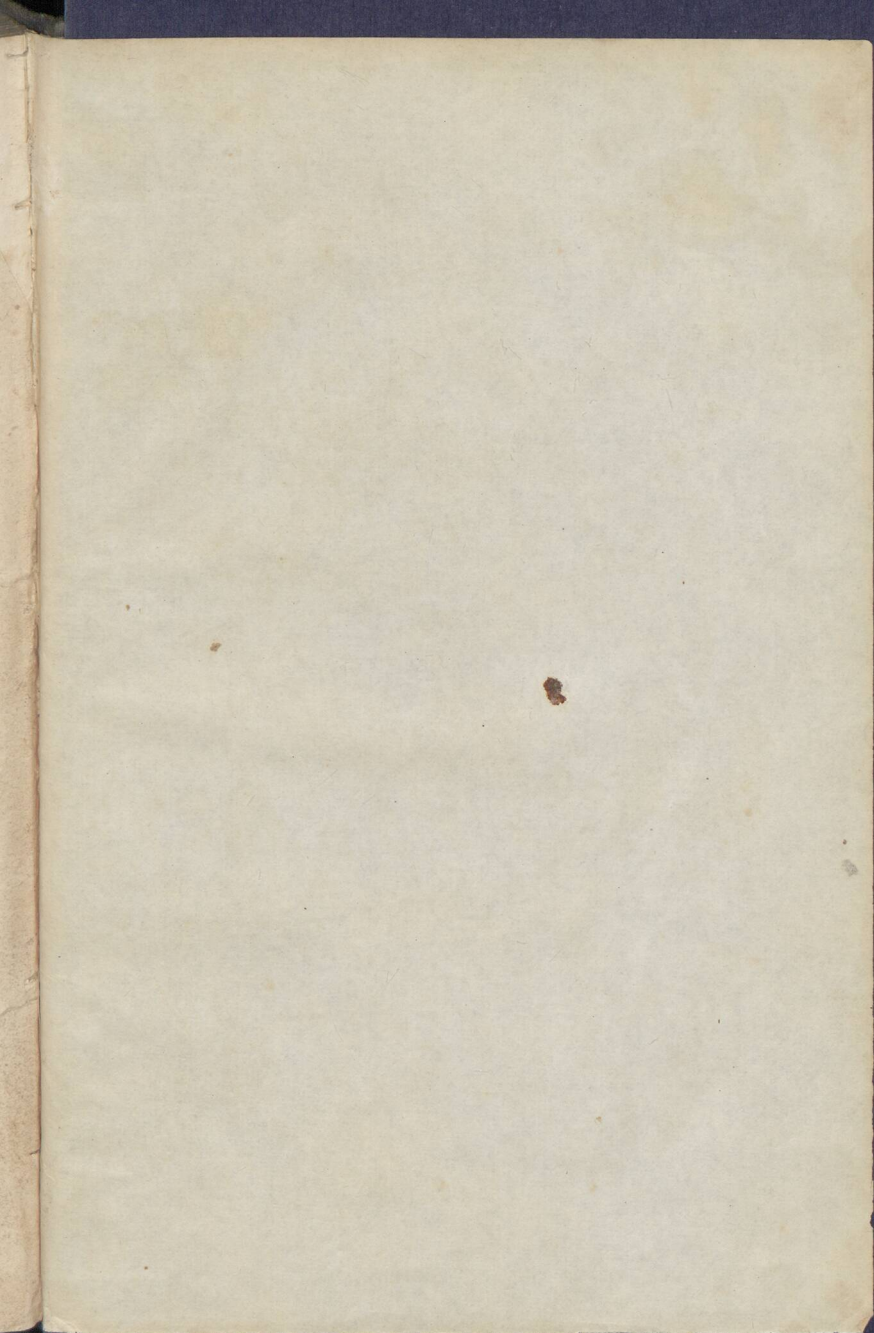
O zaiste, niestety! bo dziś — sprawa ludzkości zaczęta — księga poświęcenia na jaw do-
byta — rachunek z egoizmem otwarty — tam
tylko, gdzie ofiara — zasługa. Niestety! . . . bo
dziś — w ruchu, którego powyższy wywołał
rachunek, Doktor Karol byłby człowiekiem, za jakim
się ciągle napróżno oglądamy — człowiekiem na
jego skalę.

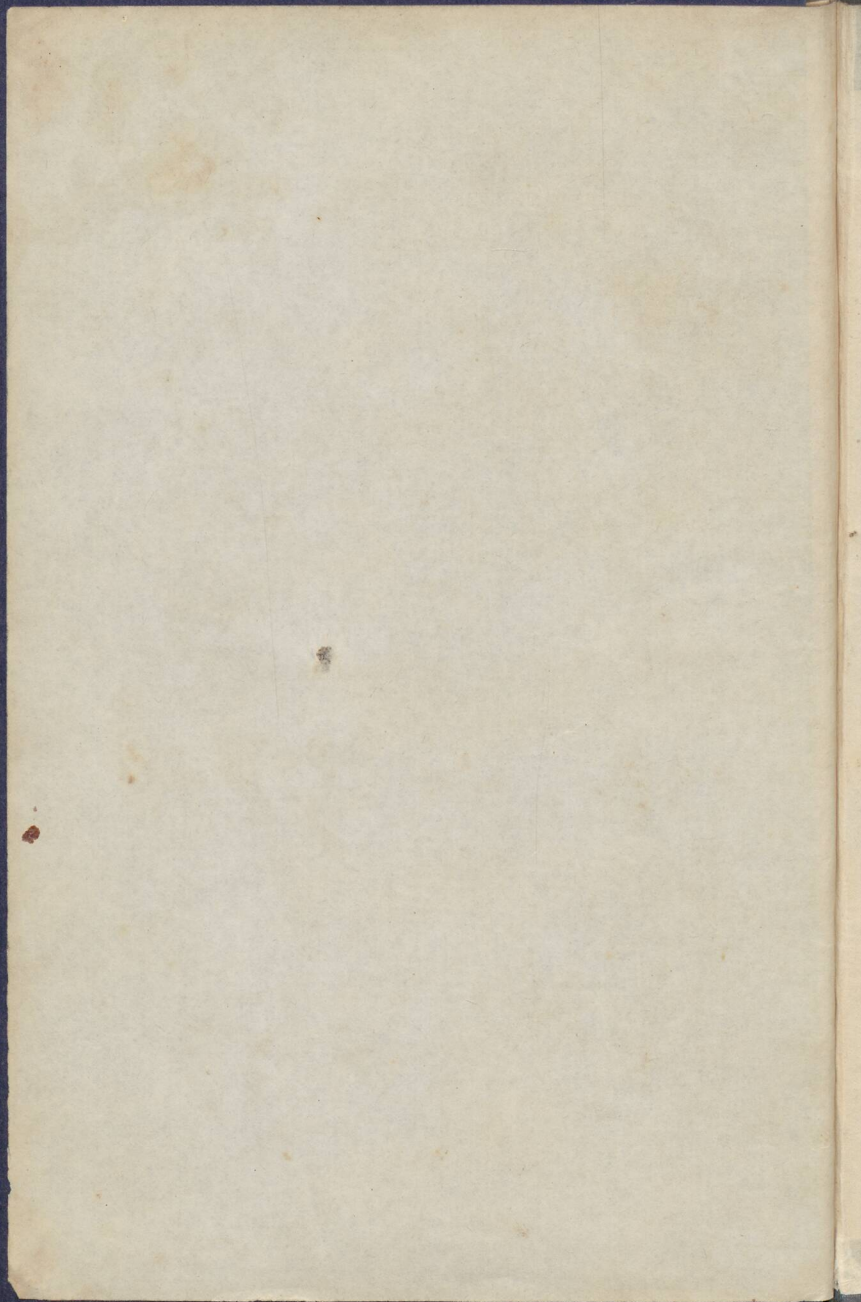
K O N I E C .

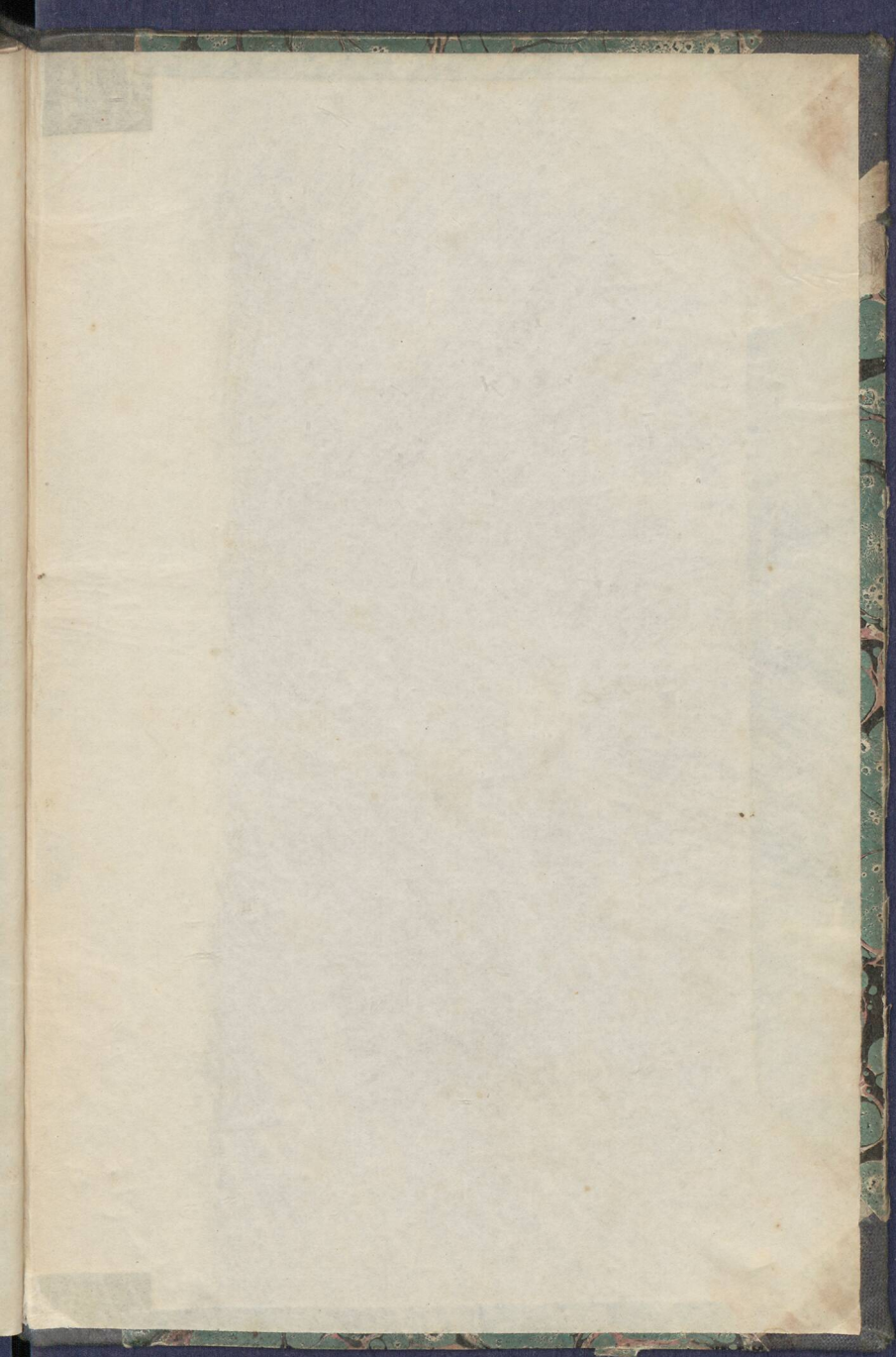
SPROSTOWANIE.

Str.	wiersz		czytaj
12	3	domysłów poszukiwań	domysłów, po- szukiwań
17	10	namieniłem	— nadmieniłem
18	11	jego samotności	— jego do samo- tności
28	19	... to nie.	— to nie
114	13	któraby u niego	— któraby w niego









BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A.M. W POZNANIU



463027

**Wypożycza się
tylko do czytelní**